

wczoraj dzisiaj jutro

PIĘCDZIESIĄT LAT SPÓŁDZIELNI

MIESZKANIOWEJ W ŚREMIE

1951
2001



GALERIA
PROFIL
ZAPRASZA

JERZY JURGA



malarstwo

WYSTAWA CZYNNA DO 20.10.2001



CENTRUM KULTURY "ZAMEK", POZNAŃ

W numerze październikowym:



Rocznica 20 października 1939 r. 4



Kim jestem? cz. XIII 14



Konniczy-wa, czyli dzień dobry 7



O Sienkiewiczu inaczej: „Quo vadis” 18



Wspomnienia wojenne z fabryki Malinowskiego... 10



Klejnoty 27



Wieści z ratusza

Stypendia za wybitne osiągnięcia

Dnia 1 września 2001 roku w Publicznym Gimnazjum nr 1 w Śremie spotkali się uczniowie, rodzice i nauczyciele. Obecni byli również Burmistrz Śremu Marek Basaj, członkowie komisji oświaty oraz naczelnik Pionu Edukacji i Usług Społecznych w Urzędzie Miejskim w Śremie Adam Lewandowski.

Zgodnie z uchwałą Rady Miejskiej w Śremie 22 uczniów otrzymało Stypendium Burmistrza na rok szkolny 2001/2002 za wybitne osiągnięcia w dziedzinie nauki, sportu i kultury. Wysokość stypendium została ustalona na 127,50 zł miesięcznie. Kwota ta będzie przekazywana pierwszego dnia każdego miesiąca na wskazane konto.

Wśród stypendystów znaleźli się : Monika Robaszyńska, Mateusz Mor, Lidia Langer, Anna Ratajczak, Małgorzata Milkiewicz, Weronika Karlińska, Julia Mozgawa, Anita Kociemba, Kamila Wencka, Anna Romanowska, Olga Dekert, Paulina Szczepaniak, Karolina Grabarska, Małgorzata Kopa, Ewa Romanowska, Jacek Tomczak, Zofia Pietraszewska, Bogna Wawrzyniak, Błażej Owczarzak, Szymon Kubala, Marzena Kozłowska oraz Artur Kowalski. Na 22 nagrodzonych 14 uczniów otrzymało nagrody w dziedzinie nauki, siedem stypendiów przyznano za wybitne osiągnięcia w dziedzinie sportu oraz jedno w dziedzinie kultury.

Serdeczne gratulacje należą się nie tylko młodym laureatom, ale również ich nauczycielom, rodzicom i opiekunom.

Śrem miastem uniwersyteckim

W nowym roku akademickim w Śremie rozpocznie

edukację 48 studentów na kierunku turystyka i rekreacja oraz 12 studentów na kierunku chemia materiałowa w filii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zajęcia będą się odbywały w obiekcie sportowym przy ulicy Staszica w dwóch do tego celu przygotowanych salach dydaktycznych. Gmina ze swej strony zorganizowała bazę kwater dla studentów. Każdy ze studentów otrzymał propozycję skorzystania z tej bazy oraz ofertę skorzystania z miejscowych stołówek szkolnych.

W przyszłości zajęcia zostaną przeniesione do obiektu po byłym żłobku przy ulicy Grunwaldzkiej. Oczywiście obiekt zostanie wcześniej wyremontowany.

Dożynki gminne w Orkowie

W niedzielę 16 września odbyły się tegoroczne gminne dożynki w Orkowie.



Burmistrz Śremu Marek Basaj oraz sołtys Orkowa witają zebranych gości

Uroczystości rozpoczęły się przejściem korowodu dożynkowego przez wieś na plac przy świetlicy wiejskiej. Wzdłuż całej trasy ustawił się gęsty szpaler widzów, którzy oklaskami powitali przejeżdżające wozy dożynkowe.

Następnie odbyła się uroczysta msza dziękczynna

za tegoroczne plony.

W części oficjalnej burmistrz Marek Basaj oraz sołtys wsi Orkowo Zygmunt Ciołek powitali zebranych gości, a wśród nich Wicewojewodę Wielkopolskiego Pana Jerzego Stępnia, prezesa Krajowej Rady Izb Rolniczych Pana Józefa Waligórę, Wicestarostę Powiatu Śremskiego Pana Andrzeja Łowickiego, a także sołtysów, prezesów Ochotniczych Straży Pożarnych, przedstawicieli sołectw gminy Śrem oraz mieszkańców wsi Orkowo oraz całej gminy Śrem.

Starostowie tegorocznych dożynek pani Wioletta Szczepaniak i pan Tadeusz Skorupski, wręczyli burmistrzowi Markowi Basajowi pierwszy wypieczony z tegorocznych ziaren bochen chleba.

Następnie głos zabrali burmistrz Marek Basaj, Wicewojewoda Wielkopolski Jerzy Stępień oraz prezes Krajowej Rady Izb Rolniczych Józef Waligóra.

Wicewojewoda Jerzy Stępień wręczył zasłużonym dla wsi osobom złote i srebrne krzyże zasługi, nadane przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego na wniosek burmistrza. Otrzymali je: Cecylia Wenzel, Czesław Bendziński, Edmund Taterski oraz Stanisław Żakowski.

Pomimo deszczowej pogody mieszkańcy gminy bawili się wyśmienicie, a imprezę uświetniły m.in. występy kapeli „Chabry” oraz kabaretu „Antek i Mania”.

Uroczyste włączenie do ruchu nowej ulicy

Zakończona została rozbudowa ulicy Staszica. Ostatnim etapem tej ważnej inwestycji było włączenie jej do ulicy Kilińskiego.

W środę, 19 września nastąpiło uroczyste przecięcie wstęgi, dokonane przez Burmistrza Śremu Marka Basaję. Wśród zaproszonych gości byli przede wszystkim przedstawiciele firm zaangażowanych w budowę drogi: Leszczyńskiego Przedsiębiorstwa Robót Drogowo-Budowlanych, firmy

Beton-Dróg, a także: prezes Spółdzielni Mieszkaniowej, komendant policji podinsp. Andrzej Twardowski oraz komendant Straży Miejskiej Marian Goliński. Na kilka minut został wstrzymany ruch koło-

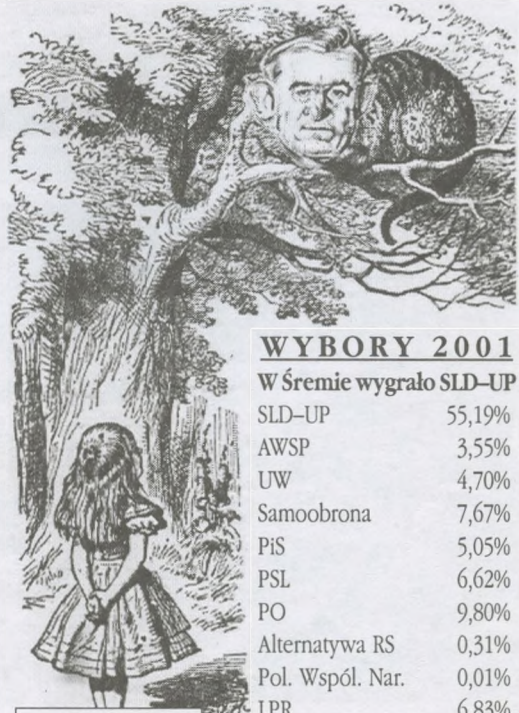
wy. Nowo otwarta ulica została poświęcona przez księdza proboszcza Mariana Roszyka z parafii Św. Ducha.

Inwestycja ta kosztowała 1mln 215tys. zł, a długość wybudowanej drogi wynosi 1260m.

Nowa ulica w zdecydowanym stopniu odciąża nasilenie ruchu, głównie ulicę Kilińskiego.



Uroczyste włączenie do ruchu nowej ulicy



Rys. R. ZAWADZKI

WYBORY 2001

W Śremie wygrało SLD-UP

SLD-UP	55,19%
AWSP	3,55%
UW	4,70%
Samoobrona	7,67%
PiS	5,05%
PSL	6,62%
PO	9,80%
Alternatywa RS	0,31%
Pol. Wspól. Nar.	0,01%
LPR	6,83%
PUG	0,14%

20 października 1939 r.



Mogiła rozstrzelanych na cmentarzu farnym (1939 r.)



Foto: archiwum Muzeum Śremskie

**Masowa egzekucja 19 ŚREMIAN
przeprowadzona przez hitlerowców na rynku.
8 XI — rocznica rozstrzelania 12 POLAKÓW
w tzw. Starej Strzelnicy koło Zbrudzewa**

Integracja w placówkach oświatowych prowadzonych przez gminę Śrem

Do napisania tego artykułu zmotywowany zostałem koniecznością wniesienia sprostowania dotyczącego informacji zawartej w artykule Rok szkolny 2001/2002 w gminie Śrem w numerze 151 Gazety Śremskiej. Wkradł się choćby edytorski błąd informujący, że w Szkole Podstawowej nr 4 im. M. Konopnickiej w Śremie funkcjonują oddziały nauczania integracyjnego. Prawdą jest, że oddziały integracyjne funkcjonują, ale w Szkole Podstawowej nr 1 im. M. Kopernika w Śremie. Za błąd informacyjny przepraszam.

Sądzę, że przy okazji warto zatrzymać się i rozwinąć problem nauczania integracyjnego jako formy dostępności do edukacji.

Realizacja prawa do edukacji wymaga dostosowania systemu edukacyjnego do potrzeb nowoczesnego społeczeństwa, określonych w coraz większym stopniu przez wyższy poziom, jakość i możliwość kształcenia w ciągu całego życia.

Wszystkim dzieciom, których możliwości są ograniczone przez czynniki biologiczne i społeczne, należy dać równe szanse startu, dostosowane do ich specyficznych potrzeb. Dzieciom tym potrzebne są szczególne - odpowiadające ich indywidualnym możliwościom i ograniczeniom - warunki uczenia się:

- indywidualne programy dostosowane do tempa rozwoju i przyswajania wiedzy,
- specjalne metody nauczania,
- nauczyciele specjaliści,
- specjalne formy sprawdzania ich wiedzy oraz przeprowadzania egzaminów.

Przewodnią zasadą kształcenia uczniów z różnego ro-

dzaju niepełnosprawnościami jest przekonanie, że szkoły ogólnodostępne powinny przyjmować dzieci niezależnie od ich warunków fizycznych, intelektualnych, społecznych czy innych.

Rodzice występują do poradni psychologiczno-pedagogicznej w celu uzyskania diagnozy oraz określenia odpowiednich form terapii, kształcenia i opieki.

Edukacja przedszkolna może być realizowana w integracyjnych oddziałach w Przedszkolu Nr 5 Mali Przyrodnicy w Śremie zlokalizowanym przy ulicy Bora-Komorowskiego. Specjalny nadzór pedagogiczny i psychologiczny ułatwia rodzicom opiekę nad dziećmi, jak i edukację przygotowawczą do edukacji wczesnoszkolnej. W br. szkolnym do oddziałów

integracyjnych w wyżej wymienionym przedszkolu uczęszcza 6 dzieci.

Edukacja wczesnoszkolna dla dzieci z oddziałów przedszkolnych integracyjnych może być kontynuowana w Szkole Podstawowej Nr 1 w Śremie im. M. Kopernika. Funkcjonują tam I i II klasa oddziałów szkolnych integracyjnych. Dzieci znajdują — dzięki pozytywnym decyzjom Zarządu Miejskiego w Śremie — niezbędne warunki do dalszej edukacji. Niezbędnym jest właściwe — ze strony placówki oświatowej — wsparcie psychologiczno-pedagogiczne: właściwy dobór terapii i metod nauczania, współpraca z rodzicami, praca z logopedą czy reedukatorem. Każdy rodzic ma prawo zabiegać — w przypadku gdy dziecko posiada specjalistyczne orzeczenie poradni psychologiczno-pedagogicznej — o umieszczenie dziecka w oddziale integracyjnym.

Adam LEWANDOWSKI



KONNICHI-WA czyli Dzień dobry



Serdecznie witam wszystkich Czytelników „Gazety Śremskiej” i zachęcam do rozpoczęcia nauki języka japońskiego.

Moja fascynacja kulturą Japonii rozpoczęła się pod koniec nauki w szkole średniej. Od najmłodszych lat interesowały mnie języki obce, a języki europejskie ze względu na swoją popularność nie wydawały mi się atrakcyjne. Największym wyzwaniem były dla mnie znaki chińskie, które mogłam podziwiać m.in. podczas projekcji filmów słynnego japońskiego reżysera Akiry Kurosawy w Telewizji Polskiej. Znaki te zostały w V wieku naszej ery zapożyczone przez Japonię z Chin i zwane są kanji (czyt. kandzi). Choć są one zmorą studentów japonistyki, a nawet samych Japończyków, ich nauka sprawiała mi ogromną przyjemność. Dzisiaj uczę studentów japonistyki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza także i znaków. Po nauce praktycznej języka japońskiego jest to drugi najważniejszy przedmiot na tym kierunku.

Podczas nauki na poznańskiej japonistyce miałam możliwość kontynuowania studiów w Japonii. Mój pierwszy dłuższy pobyt w tym kraju trwał rok i była to nagroda za zajęcie II-ego miejsca na Ogólnopolskim Konkursie Języka Japońskiego, który co roku odbywa się w Ambasadzie Japonii w Warszawie. Miejscem pobytu było uroczo położone miasto Sendai, zwane „zieloną stolicą Japonii”. Po powrocie do kraju ukończyłam studia na UAM i podjęłam pracę w Szkole Japońskiej przy Ambasadzie Japonii w Warszawie. Ministerstwo Edukacji Japonii ponownie wyróżniło mnie przyznaniem 2-letniego stypendium. Zaproponowano mi studia podyplomowe, które ukończyłam na Uniwersytecie Kyushu w Fukuocie. Przez 2 lata zajmowałam się tam antropologicznymi badaniami malowniczej wyspy o nazwie Tsushima, położonej na Morzu Japońskim niedaleko Korei. Interesował mnie szczególnie folklor wyspy, zwyczaje mieszkańców, wierzenia itp. Obecnie pracuję jako wykładowca na UAM, na kierunku japonistyka oraz jako tłumacz przysięgły języka japońskiego.

Ostatnio obserwuje się zwiększone zainteresowanie kulturą Azji, szczególnie kulturą Japonii i dlatego w „Kąciku Języka Japońskiego” proponuję Państwu naukę podstawowych, użytecznych zwrotów oraz znaków tego języka.

Język japoński (1)

Zacznijmy od kilku najważniejszych słów istniejących w każdym języku, a mianowicie od pozdrowień. Słowa w języku japońskim napisane są w międzynarodowej transliteracji. W początkowych lekcjach ich wymowa będzie napisana w nawiasach. Z czasem prawidłowe odczytanie słów w tym języku nie będzie sprawiało kłopotów.

POZDROWIENIA

Dzień dobry

— ohayō lub ohayō gozaimasu * (ohajoo gozaimas)

* Forma *ohayo gozaimasu* jest grzeczniejsza.

ō – przedłużona głoska o

— konnichi-wa (konniciła, ch zbliżone do polskiego c)

Bardzo istotne jest rozróżnienie tych dwóch pozdrowień i ich odpowiednie używanie, zgodne z porą dnia. Pozdrowienia ohayo gozaimasu używamy od rana do godziny 10:00, a następnie do wieczora używamy słowa konnichi-wa.

Dobry wieczór — komban-wa (kombanła)

Do widzenia — sayonara (sajoonara)

ZNAKI

W pierwszej lekcji przedstawiam bardzo łatwe do zapamiętania znaki, oznaczające drzewo, las i puszcę. Prawda, że łatwe?

DRZEWO

Ki (ki)

LAS

Hayashi (hajasi)

Sh zbliżone

do polskiego ś

PUSZCZA

Mori (mori)

木 林 森

Grzyżyna KRAMM

WARTO PRZYPOMNIEĆ...

Mój świat

Kazimiera Iłłakowiczówna urodziła się 6 sierpnia 1892 roku (niektórzy autorzy podają datę 19 sierpnia 1892 r.) w Wilnie. Ojciec Kazimierzy Klemens Zan, znany adwokat wileński, był rodzonym synem Tomasza Zana. Zginął tragicznie, zastrzelony w pociągu w czasie przejazdu przez tunel, kiedy dzieci były jeszcze zupełnie malutkie. Matka Barbara umarła na gruźlicę, kiedy starsza córka Barbara miała lat siedem, a młodsza Kazimiera lat pięć. Po śmierci matki dzieci rozdzielono. Basia - jak podaje Agnieszka Baranowska w książce *Perły i potwory* - wychowywała się w rodzinie ciotecznych sióstr matki: Wołków i Karpowiczów. Kazimierę zabrał rodzony brat matki Jakub Iłłakowicz, zawodowy wojskowy, który uprzednio ją adoptował i tym samym nadał jej swoje nazwisko. Nie było tam jednak odpowiednich warunków dla dziecka, którym w praktyce zajmowali się ordynansi. Kazimiera była zaniebana i nieszczęśliwa. Doprowadziło to do tego, że małą wzięła pod swoją opiekę Zofia z Zyberk-Platerów Buynowa, „matka Zofia”, jak ją nazywała poetka, druga przybrana matka, największa życiowa miłość Iłłakowiczówny.

Pisać zaczęła wcześniej. Już jako kilkuletnia dziewczynka wydała w Tygodniku Ilustrowanym wiersz *Jabłonie*.

Uczęszczałam do szkoły krótko i dorywczo — pisała — prze-ważnie uczyłam się w domu i zda-wałam egzaminy w rosyjskich szkołach rządowych. W Warszawie chodziła do nie lubianej szkoły. Latem jeździła z matką Zofią do Pohulanki Dyndeburskiej, własności brata matki Zofii. W Warszawie zaczął narastać konflikt

między matką Zofią a Kazimierą, w którym ścierały się poglądy i dążenia dwóch pokoleń. Jej przybrana matka twierdziła, że kobiecie nie wypada studiować.

Kazimiera wyjechała do Oxfordu, gdzie znajdował się specjalny college dla cudzoziemców. Uczyła się tam języka i literatury angielskiej. Jakis czas przebywała z matką Zofią we Fryburgu w Szwajcarii. Od 1910 roku studiowała polonistykę i anglistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie w 1914 roku uzyskała abso-lutorium. Będąc na drugim roku polonistyki wydała swój debiutanci-tomik poezji *Ikarowe loty*. Pod-pisała go I.K. Iłłakowicz, udając mężczyznę.

Dzięki siostrze Barbarze, w 1915 roku w niewielkim domku przy ulicy Szlak 11 w Krakowie poznała Józefa Piłsudskiego. W styczniu 1915 roku poszła na front do polskie-go lotnego oddziału przy Wszechrosyjskim Związku Ziemskim przy armii rosyjskiej.

W 1918 roku trafiła do Warsza-wy i została przyjęta — dzięki protekcji Tytusa Filipowicza — do Ministerstwa Spraw Zagranicznych jako młodszy referent. Może sam ten fakt nie oznaczał jeszcze karie-ry w wielkim stylu, ale jeśli zwa-żyć, że późniejszy radca w spódnicy był pierwsza kobietą w MSZ na stanowisku referendarskim, a po przewrocie majowym przeszła do Ministerstwa Spraw Wojskowych na stanowisko sekretarza ministra, to

należy uznać tego rodzaju awans za rzecz wyjątkową.

Nie ułożyła sobie życia osobistego, nie założyła rodziny i nie miała dzieci. Półsierota pozostała samotna do końca życia. Była natomiast świadkiem wielu wydarzeń



politycznych. Na wystawie malarza Jana Henryka Rose-na, także urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, była przy śmierci prezydenta Narutowicza zastrzelonego w Zachęcie na jej oczach.

Jako sekretarz osobisty Józefa Piłsudskiego otwierała i rozdawała pocztę przychodzącą do Marszałka, pisała uwagi i nalewała Marszałkowi herbatę. Poznała całe otoczenie Piłsudskiego: Bartła, pułkownika Wieniawę-Długoszewskiego, Nałęczą-Korzeniowskiego.

Mimo braku czasu i sumiennej pracy urzędniczej wydawała nowe tomiki wierszy: *Śmierć Feniksa (1922 r.)*, *Półw*, *Ballady bobaterskie*, *Słownik litewski*, *Dziwy i straszylaki*.

Już w 1929 roku Kazimierz Czachowski stwierdził, że wśród współczesnych poetek polskich Iłakowiczówna jest najwybitniejsza. W 1930 roku została laureatką nagrody miasta Wilna. Wręczeniu nagrody towarzyszyła feta, a Iłakowiczówna była szczęśliwa, bo wreszcie trafiła do swojego rodzinnego miasta. Przy wręczeniu nagrody profesor Zdziechowski, prezes Sądu Konkursowego, złożył hołd poetce za to, że twórczość swą tak ściśle z krajem naszym, z jego przyrodą i przeszłością związała, że potrafiła tak głęboko odczuć groźbę obecnej chwili, którą znaczy krew męczenników wiary i ideału. W 1935 roku została laureatką państwowej nagrody literackiej. Po krótkim okresie uznania nadszedł czas ataków - po wierszach belwederskich, a potem po opublikowaniu książki wspomnieniowej *Ścieżka obok drogi (1936 r.)*, poświęconej marszałkowi Piłsudskiemu.

17 września 1939 roku Kazimiera Iłakowiczówna wraz z innymi pracownikami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przekroczyła w Kutach granicę rumuńską. Mieszkała w rumuńskim Kluż. Po roku rumuński Kluż zamienił się w węgierski Kolozsvár. Zamieszkała u Szejnerów, właścicieli prywatnego sanatorium, a potem u chasydzkiej rodziny Szwarców, gdzie przetrwała dwa lata. W 1944 roku wkroczyły wojska radzieckie, a Kluż znowu stał się rumuński.

W maju 1946 roku udało się wreszcie napisać do konsulatu polskiego o paszport. Zaczęła do kraju wysyłać wiersze. Kiedy po perypetiach, w 1947 roku, wróciła do Polski, na dworcu podobno witał ją prezes Związku Literatów Polskich Jarosław Iwaszkiewicz - ale mieszkania ani posady w Warszawie nie otrzymała. W owym czasie drukowała wiersze w Tygodniku Powszechnym i Kuźnicy. W końcu osiedliła się w Poznaniu. W 1948 roku jeszcze ją doceniano. Wilhelm Szewczyk wygłosił na wieczorku literackim w Sosnowcu: wiersze Iłakowiczówny

to pośpiesznie rzucane szkice. Szkicowość wynika stąd, że poetka jest niezwykle wrażliwa i nerwowa. Nie na darmo się zachwycał. W 1949 roku wydał jej wiersze, w które już ingerowała cenzura. Potem przyszły lata gorsze. Wydawnictwa zerwały umowy, niektórzy ludzie nie mogli jej wybaczyć, że była sekretarką Piłsudskiego.

Po 1955 roku zaczęto drukować jej wiersze i prozę. Doczekała się nowych tomików poetyckich, wydania wierszy zebranych, nagrody państwowej i oficjalnego uznania. Zbierała pochwały i za granicą kraju.

Wydawało się, że Iłakowiczówna przeszła do klasyków. W 1966 roku wydała tomik zatytułowany *Szeptem*, który znalazł ogromne uznanie w oczach krytyków literackich. Zewsząd sypały się pochwały. Jedynie młody poeta Stanisław Barańczak *ironicznie traktuje twórczość Iłakowiczówny, przedstawia ją jako poetkę dla dzieci, a jej wiersze jako rymowani dzieciinne*.

Iłakowiczówna przyjęła to wszystko pobłażliwie.

Pozostała samotna, zamknięta w upływających latach oraz stopniowej, ale postępującej utracie wzroku. Brak widzenia świata zaciążył na jej życiu. W wywiadzie w 1981 roku powiedziała ze spokojem: i wszystko się dla mnie kończy.

Do śmierci mieszkała w Poznaniu. Zmarła 16 lutego 1983 roku. Trumna ze zwłokami wystawiona została w Muzeum Narodowym w Poznaniu. Pogrzeb odbył się na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Adam LEWANDOWSKI

* * *

*O czym zgrzytają tramwaje,
kiedy w nocy pod oknem mi stoją?
O buławce im śni się wysokie,
żeby z szyn i żeby — w obłoki;
żeby leciutko na krótko
kolor lila ze złotą obwódką
i — bez planu, bez kursu, bez celu
karuzelą nad Poznaniem, karuzelą!*

Marzenie

*To nie ślepa puszysta ćma,
to — ja.
Z ciemności lecę, spod jesionów dębów i lip
do okien jarzących, do szyb.
Żadnej z tych szyb nie omijam,
o każdą się rozbijam,
tęsknie do lampy, do świecy...
Na śmierć, na śmierć, na śmierć lecę!*

Ćma

WSPOMNIENIA WOJENNE Z FABRYKI MALINOWSKIEGO cz. II

Administracja fabryki w pierwszych latach wojny mieściła się w niewielkim budynku na rogu ulic Kolejowej i Kilińskiego, naprzeciwko bramy głównej fabryki. Pracowali tam od początku wojny, a chyba również przed wojną: Stanisław Bartkowiak, Wacław Koniczka, Zieliński — brat znanego muzyka Mariana, a także Marian Kaczmarek, który był jednocześnie szefem produkcji całej fabryki. Niestety został on po kilku latach aresztowany przez gestapo i sądzony w tym samym procesie, co Wacław Adamski. Został skazany na obóz koncentracyjny w Oświęcimiu, który szczęśliwie udało mu się przeżyć.

Oczywiście byli tam również zatrudnieni Niemcy i to przede wszystkim na stanowiskach kierowniczych. Pierwszym kierownikiem fabryki, czyli tzw. „Treuhänderem” (powiernikiem) był Häcker — człowiek przysłany z Niemiec. Nie wyróżniał się niczym szczególnym, może tylko tym, że stale nosił mundur jakiejś organizacji hitlerowskiej, ale taka była moda wśród Niemców.

Po nim objął tę funkcję Erich Jehn, który kiedyś mieszkał w Śremie, przy ulicy Mickiewicza obok wieży ciśnieni i podobno, aby uniknąć powołania do polskiego wojska uciekł do Niemiec. Znał dobrze język polski i posługiwał się nim czasem, zwłaszcza gdy chciał wyrazić swą złość na polskiego robotnika. To uczucie wyrażał również chętnie rękoczynami. Miał ambicję „przyprawiania” sobie tytułu inżyniera, chociaż dużo mu do tego brakowało.

Ostatnim kierownikiem, którego sobie przypominam był również „polskojęzyczny” Niemiec, o którym mówiono, że był oficerem Wojska Polskiego w War-

szawie. Nie wiem, czy to prawda, ale dobrze mówił po polsku, podobnie jak jego ojciec, który jako tzw. „Platzmeister” chodził po terenie fabryki, rzekomo pilnując porządku.

W budynku biurowym pracował też od roku 1940 młody Niemiec, repatriant z Galicji Wschodniej zajętej przez Rosjan. Nazywał się Beniszek, miał prawdopodobnie ukończone polskie gimnazjum i liceum, chociaż nie wiem, czy zdążył zdać maturę. Z nami rozmawiał wyłącznie po polsku, zwłaszcza dlatego, że jego pasją była jazda na motocyklu i od nas oczekiwał pewnych usług. Chorował na cukrzycę, co chroniło go od poboru do wojska, ale nie uratowało od śmierci, bo gdy Armia Czerwona zajęła Śrem, został aresztowany tak jak wszyscy Niemcy, którzy nie zdążyli uciec. Zabrakło wtedy dla niego insuliny w naszym szpitalu.

Liczba pracowników biurowych powiększała się w miarę rozwoju fabryki; niektórzy mówili, że nieproporcjonalnie, co spowodowało zbyt dużą ciasnotę w starych pomieszczeniach biurowych. Dlatego po kilku latach cała administracja została przeniesiona do obszernego budynku mieszczącego się przy ulicy Kilińskiego. Tam została zatrudniona również między innymi pani Barbara Ullmanówna.

Muszę wreszcie wspomnieć o oddziale fabryki, w którym spędziłem prawie cały okres wojenny, o warsztacie naprawy samochodów. Powstanie tego warsztatu zaczęło się od pana Juliana Olejniczaka, który przed wojną był kierowcą właściciela fabryki Franciszka Malinowskiego oraz konserwatorem jego samochodu. Na początku wojny nadal pełnił tę funkcję dla nowych

szefów, ale przybywało samochodów, więc również pracy i po pewnym czasie, muszę się przyznać, dzięki protekcji pana Melchiora Urbaniaka, u którego pracowałem przez kilka miesięcy, a który aktualnie był kierowcą fabrycznego samochodu ciężarowego, zostałem pomocnikiem Olejniczaka. Warsztat mieścił się w podwórzu, na zapleczu pierwszego budynku administracyjnego fabryki. Wjazd na to podwórze był od strony ulicy Kilińskiego. Mieliśmy dwa niewielkie pomieszczenia, w tym jedno wyposażone w kanał; w sumie było miejsce tylko na 4 samochody osobowe. Samochody ciężarowe mogły być naprawiane tylko na podwórzu. Dzisiaj nie ma już śladu po tym warsztacie; został podobnie jak budynek administracji dokładnie zrównany z ziemią.

Wkrótce dokooptowano nam dwóch pracowników. Pierwszy to Franciszek Piec, doświadczony w zawodzie ślusarskim, średniego wieku. Przyjaciele wołali na niego czasem „Piecyk”, natomiast Niemcy – „Pic” zgodnie z zasadami niemieckiej wymowy. Miał brata Niemca imieniem Wilhelm, ale nie utrzymywali braterskich stosunków. Podobno proponowano panu Piecowi przyznanie obywatelstwa niemieckiego, ale nie zdecydował się na to. Po wojnie, gdy powstała Niemiecka Republika Demokratyczna, miał rzekomo twierdzić, że prezydent Wilhelm Pieck to jego brat, ale pan „Piecyk” miał dużą fantazję. Niestety zginął tragicznie w katastrofie motocyklowej na śremskiej ulicy.

Drugim był Stasiu Płociennik, trochę starszy ode mnie, w fabryce zaczął praktykować już parę lat wcześniej, miał duże zdolności manualne. Dobrześmy się ze sobą uzupełniali wzajemnie i dobrze się nam razem pracowało.

Po paru latach zaczął z nami pracować Henio Palacz, którego ojciec był wówczas kierowcą pogotowia ratunkowego w Śremie, a samochody tego pogotowia powierzał nam do naprawy i konserwacji. Chy-

ba zadowolony był z tych napraw, bo swego syna też nam powierzył do edukacji w zawodzie.

Obecna działalność naprawcza samochodów w tzw. „Stacjach obsługi” jest zupełnie niepodobna do pracy w naszym warsz-



Od lewej — E. Talarczyk, F. Piec, Doliński, J. Olejniczak, M. Urbaniak, T. Wiczorkiewicz

tacie. Obecny mechanik samochodowy jest specjalistą jednej marki samochodu, żeby nie powiedzieć jednego typu, a w diagnozowaniu pomaga mu najczęściej komputer. Myśmy naprawiali wszystkie marki samochodów niemieckich, włoskich, francuskich, niektórych angielskich i amerykańskich. Nie mieliśmy instrukcji fabrycznych ani większości części zamiennych; w trakcie naprawy wszyscy sami nauczyliśmy się swego zawodu, a brakujące części trzeba było samemu dorabiać. W ten sposób powstał tzw. mechanik-złota rączka. Muszę jednak przyznać, że ta wiedza nie wystarczy już na dzisiejsze, bardziej skomplikowane samochody.

W okresach znacznego nawалу prac naprawczych, zwłaszcza pojazdów wojskowych, dokooptowano nam pracowników fabryki, którzy wcześniej z naprawą

pojazdów mieli sporadyczny kontakt. Byli wśród nich: Banaś, przed wojną pracownik jakiejś fabryki samochodów we Francji, Kozłowski, były pracownik zakładów lotniczych w Warszawie, a także Handkiewicz, solidny, budzący zaufanie oraz Doliński o postawie przypominając Apollina. Niestety ich imiona uszły mojej pamięci.



Marian Kaczmarek od 1932 r. kierownik produkcji, aresztowany w 1941 r.

Przejęciowo pracowali z nami również Niemcy; najczęściej zaczynali jako 16-letni chłopcy. Byli to przeważnie synowie Niemców mieszkających przed wojną w Polsce, często przybysze z Galicji Wschodniej, więc rozmawialiśmy z nimi po polsku. Nie odznaczali się szczególną lotnością umysłu, jak by to wynikało z teoretycznych wywodów Rosenberga. Interesowała ich przede wszystkim jazda na motocyklach, więc nie zdołali dobrze wyuczyć się zawodu zanim trafili do „Wehrmachtu” i dalej na „Ostfront”. W stosunku do nas Polaków zachowywali się co najmniej poprawnie, a nawet z pewnym respektem i życzliwością. Pamiętam jak jeden z nich, przyniósł nam dużą paczkę ciastek

kupionych w cukierni na specjalne kartki dostępne tylko dla Niemców. Nigdy przedtem ciastka tak bardzo mi nie smakowały.

Innym Niemcem był Roguszko, też z Galicji, starszy trochę, może 25-letni, więc został zaangażowany jako „czeladnik”, choć wiadomości z techniki samochodowej miał na poziomie wystarczającym do obsługi swego motocykla. Kiedy dostał polecenie odpozwietrzenia hamulców samochodu i mnie do pomocy, zadał mi dyskretne pytanie: „czy ty wiesz jak to się robi?”. Swoją przynależność państwową deklarował jednak wyraźnie, co wykazał pewien incydent: - pracujący z nami wówczas reemigrant z Francji Banaś, w jakiejś dyskusji między nami wyraził się dość nieostrożnie, że „Polska istnieje”, rozumiejąc niewątpliwie to słowo jako pojęcie geograficzne. Roguszko zapieniał się wówczas z oburzenia, „Polski nie ma i nigdy nie będzie” — powiedział starszemu znacznie od siebie Polakowi; nawet groził donosem na policję. Po pewnym czasie ten żywiołowy obrońca honoru Trzeciej Rzeszy poszedł bronić jej granic na froncie wschodnim. Wrócił po pół roku i chodził po ulicach Śremu z jedną stopą w gipsie, podpierając się laską.

Pracował również z nami młody rudowłosy Hans Doyl (lub Deul) pochodzący z Bremy. Nie znał polskiego, więc musieliśmy rozmawiać z nim po niemiecku. Był pełen energii, spontaniczny w swoich zachowaniach, czasem nieobliczalny, ale nieszkodliwy, raczej przeciwnie; kiedyś przyniósł nam z rzeźni duży, chyba 10-kilogramowy kawał mięsa końskiego. Dawno nie mieliśmy takiej uczty w domu. Muszę zauważyć, że za ubój świni własnoręcznie wyhodowanej Niemcy karali śmiercią.

Gdy został powołany do wojska odstąpił mi swoje, bardzo dobre cywilne ubranie za mój zegarek. Obaj byliśmy bardzo zadowoleni. Przyjechał na urlop po roku służby na froncie wschodnim, psychicznie mocno zmieniony. Był to już czas, kiedy kolejne miasta na wschodzie zostawały „planowano ewakuowane”, jak donosiły komunikaty „Oberkommando der Wehrmacht”. Hans zapytany przez nas, kiedy skończy się wojna? odpowiedział: - jak Hitler i Stalin będą martwi. Rozumieliśmy się już dobrze bez dalszych słów. Nie taktem byłoby pytanie, jak skończy się ta wojna?

Był jeszcze jeden Niemiec, którego chętnie wspominam; znany w Śremie przed wojną i szanowany zegarmistrz Willy Fenner. Człowiek w średnim wieku, słabego zdrowia, więc do wojska nie był powołany. Przez pewien czas był zatrudniony w podręcznym magazynku części zamiennych naszego warsztatu, gdy ten został odłączony od fabryki, a jego formalnym szefem był Niemiec pochodzący z Rumunii, Müller. W tym czasie lokalne władze niemieckie wydały bezwzględny zakaz rozmów w języku polskim na ulicach i w miejscach pracy. Pewnego dnia poszedłem do biura, aby pobrać jakąś część zamienną potrzebną do samochodu. Był tam oprócz Fennera jeszcze szef Müller. Zwróciłem się do magazyniera słowami: „Herr Fenner ich wollte...”, przerwał mi w tym miejscu i zapytał po polsku: — co chciałeś ode mnie? — Był zawsze lojalny i życzliwy dla Polaków niezależnie od tendencji politycznych i wydawanych zarządzeń. Został też bez zastrzeżeń zrehabilitowany po wojnie jako polski obywatel, a gdy umarł, żegnał go na cmentarzu ewangelickim tłum Polaków.

Tendencje polityczne i formalne nastawienie do Polaków zmieniało się stosownie do sytuacji na frontach. Pod koniec wojny nastąpiło pewne złagodzenie antypolskich represji, a nawet pojawiły się gesty pojednawcze, pozorne zresztą i fałszywe. Nie było większych przeszkód, aby stać się obywatelem Rzeszy, czyli zostać tzw. „Folksdeutschem”, jeśli tylko kandydat znalazł w swoim rodowodzie niemieckiego przodka.

Ustanowiono również status Polaka określonego wyrażeniem „Leistung-Pole”, czyli wydajnego i zasłużonego, co było związane z otrzymaniem większych przydziałów kartkowych. Nie wiem czy, było wielu zachwyconych otrzymaniem tego wyróżnienia; nie słyszałem, aby ktoś się tym chwalił. Po wojnie natomiast ci ludzie byli w pewnym sensie napiętnowani i podlegali procesowi rehabilitacji.

Innym gestem pojednawczym skierowanym do Polaków było zebranie zorganizowane w dużej hali fabrycznej w godzinach pracy, na którym jakiś przedstawiciel Gauleitera z Poznania wygłosił propagandowe przemówienie tłumaczone na język polski, o zasługach niemieckich dla rozwoju Śremu i Kraju Warty oraz dla kultury tego regionu: „Wszystkie zabytki ar-

chitektury, fabryki i kościoły wybudowali Niemcy” — usłyszeliśmy w przemówieniu. Pierwszy raz w tej wojnie usłyszałem zachęcające słowa dotyczące perspektywy życia polskiej rodziny. Ja wiedziałem, co o tym sądzić; nie miałem wątpliwości, że po wygranej przez Niemców wojnie będziemy musieli podzielić los Żydów, natomiast komentarze po zebraniu były różne i niestety w wielu przypadkach świadczące o bezkrytycznym przyjęciu propagandowych i kłamliwych twierdzeń. Przekonałem się, że znajomość historii jest niewielka, zwłaszcza wśród ludzi starszych, którzy nie chodzili do polskiej szkoły. Również działalność takich ludzi, jak na przykład księży Augustyna Szamarzewskiego oraz Piotra Wawrzyniaka szybko została zapomniana, choć w owym czasie minęło tylko 40 lat.

Słyszałem również zdania świadczące o braku nadziei wśród rozmówców, na przykład: „Niezależnie od tego jak będzie, ale ty robotniku zawsze będziesz w ... bity. Nie było to jednak dominujące nastawienie społeczności fabrycznej w tym okresie zbliżających się przemian.

Moje kontakty z fabryką Malinowskiego zostały nagle przerwane na początku sierpnia 1944 roku, kiedy to Niemcy zorganizowali wywózkę do budowy okopów na ziemi kujawskiej, w ramach tzw. „O.T.Einsatz”. Znalazłem się tam razem z Czesiem Michałakiem i z przyjemnością wspominam wspólnie spędzone z nim miesiące oraz nasze dyskusje nad istotą eteru, po którym rozchodzą się fale radiowe. Podziwiałem jego pasję poznania świata techniki radiowej, tak bardzo kontrastującą z pesymizmem niektórych pracowników fabryki, i myślę, że pewnie jemu zawdzięczam mój zwrot zainteresowań z samochodu na elektronikę oraz późniejsze studia w tym kierunku.

Po moim powrocie do Śremu w styczniu 1945 r. miałem możliwość oglądać ostatnią produkcję fabryki — pociski do dział czołgowych, przeważnie niekompletne, porozrzucone na podwórzu w beładzie, jeszcze nieużywane i nikomu już na szczęście niepotrzebne.

Edmund TALARCZYK

Foto: archiwum

KIM JESTEM? CZ. XIII

MOJE SIEDMDZIESIĘCIOLETNIE ŻYCIE ROZWIJA SIĘ JAK W ZWOLNIONYM FILMIE, POKAZUJĄC MŁODE LATA PO STUDIACH — W POZNANIU W LATACH 1951/55

W POLSCE MIJA PIERWSZA DEKADA ODZYSKANIA WOLNOŚCI. MAJĄC W PAMIĘCI OCENĘ WYDARZEŃ W POLSCE I NA ŚWIECIE, OKRESU PRZEDWOJENNEGO I WOJENNEGO, PRZEKAZANĄ MI PRZEZ OJCA I STRYJA WIKTORA, A PÓŹNIEJ OBSERWUJĄC SYTUACJĘ W KRAJU I DŁGIE NOCNE GODZINY SPĘDZAJĄC PRZY ZAGŁUSZANYM RADIU „WOLNA EUROPA”, CZEKAŁEM NA INNĄ POLSKĘ. NA PRZEŁOMIE ROKU 1989/1990 AKTYWNIIE ZAANGAŻOWAŁEM SIĘ W STRUKTURY SOLIDARNOŚCI I KOMITETÓW OBYWATELSKICH, TRAKTUJĄC TO JAKO OBOWIĄZEK PATRIOTYCZNY. PRZEŻYŁEM WIELKIE NADZIEJE PŁYNĄCE Z POSŁANNICTWA POLSKIEGO PAPIEŻA JANA PAWŁA II, A TAKŻE ROZCZAROWANIA OKRESU PRZEJŚCIOWEGO. ZNAJDUJEMY SIĘ W OKRESIE PRZEŁOMOWYM W POLSCE. W KTÓRYM KIERUNKU PÓJDIEMY?

Po uzyskaniu dyplomu magisterskiego w październiku 1951 roku wróciłem do Poznania. Obowiązywał przydział pracy. Przez komisję na politechnice we Wrocławiu otrzymałem skierowanie do Wydziału Architektury Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu, na podstawie pisma przygotowanego przez Dziekana Wydziału architekta Władysława Czarneckiego. Moja praca odbywała się poprzez spotkania ze studentami w godzinach ćwiczeń na tak zwanych korektach. Profesor prowadził wykłady, a na ćwiczeniach po moich korektach (dwóch lub trzech) student miał obowiązek przedstawić swoją pracę profesorowi. Nie było to ciekawe, bo tematy były nudne i obracały się między stołówkami, przedszkolami i małymi przychodniami lekarskimi — gdyż projektowanie dotyczyło nowego przedmiotu „służby zdrowia”. Byłem na kilku wykładach profesora, ale mi się nie podobały, bo przez cały wykład monotonnie rysował i mówił o wymiarach wc, natrysków, wanien i pisuarów. Praca asystenta na Wydziale Architektury Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu była niskopłatna. Miałem pensję w wysokości 810,- złotych w randze adiunkta (starszego asystenta).

Musiałem poszukać dodatkowej pracy. Ponieważ we Wrocławiu pracowałem w Przemysłowce (B.P.B.P.), a poprzednio w roku 1949 w Przemysłowce Warszawskiej, więc poszedłem do poznańskiej Przemysłówki i zostałem przyjęty na stanowisko projektanta, z płacą podstawową trochę wyższą od asystenckiej na Szkole Inżynierskiej.

Dyrektorem biura był senior rodu architekt Kazimierz Ulatowski, następnie jego syn Jarosław, żartowaliśmy z familijnego powiązania dyrekcji: „w imię ojca i syna, dwóch szwagrów i kuzyna”. Tryby państwowego biura

projektowego to był osobny rozdział, poczynając od biura kadr, którego kierownik był wyjątkowo małomówny. Dopiero w roku 1956, po wypadkach poznańskich, gdy można było przejrzyć własną teczkę osobową i wyjąć nie odpowiadające delikwentowi opinie, kierownik kadr uzalił się, że gdyby przewidział, że tak się sprawy potoczą, to by nie wyjeżdżał z PGR-u do pracy w Poznaniu. Zapadł mi w pamięci również sekretarz POP-u (podstawowa organizacja partyjna), technik B., który w przemówieniach agitacyjnych używał określenia: „plan sześcioltni” (później był kierownikiem pracowni). Urządzano wówczas w dużej sali posiedzeń „spęd pracowników”, na aktualne tematy polityczne — np. procesu małżeństwa Rosenbergow. Takie zebrania zaczynały się odśpiewaniem międzynarodówki, której słów nie znałem, tak jak i większość zebranych.

W budynku znajdował się pokój przesłuchań UB (Urząd Bezpieczeństwa), byłem tam wezwany i przesłuchiwany przez młodego chłopaka, który chciał się dowiedzieć wiele, pytania dotyczyły zazwyczaj „co pan może powiedzieć o swoim kierowniku?”

Odpowiedziałem, że nic nie mogę powiedzieć. Chodziło o architekta Leona Dietz d'Armę, którego później wezwano do Szczecina, aby pod pretekstem konsultacji projektów w oddziale szczecińskim urządzić przesłuchanie w UB.

Po niedługim czasie ja również dostałem wezwanie na ulicę Kochanowskiego. Tam, na parterze, w pokoju położonym na końcu korytarza, zostałem przesłuchany w sprawie Leona Dietza „co mogę o nim powiedzieć, jak mi się z nim pracuje?” odpowiedziałem, że bardzo dobrze. Na to wszedł jakiś śledczy w wieku około 50-ciu lat

i zaczął na mnie krzyzczeć i wymachiwać łapami, był czerwony na twarzy i wyraźnie było widać, że ma rysy semickie. Prowadzący przesłuchanie bardzo się dziwił, że go nie poznaję, bo przecież też był studentem Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu. Nie mógł zrozumieć, że nie mogę go znać nawet z widzenia, bo pracuję w S.I. dopiero od roku. Ubrdał sobie, że ja skończyłem studia na Uczelni Poznańskiej i to był jakby drugi temat rozmowy. Zmęczony byłem tym przesłuchaniem, prowadzący podsunął mi do podpisania protokół, ale uznałem, że nic istotnego nie było w pytaniach i odpowiedziach, podpisałem ten kilkunastoparagraftowy protokół, był rok 1953.

Leon Dietz d'Arma był ciekawą postacią na tle naszego środowiska architektonicznego. W 1917 roku jako dorastający syn lekarza na dworze carskim miał zaplanowaną karierę wojskową w Szkole Kadetów w Petersburgu (rodzina przybyła do Rosji z miejscowości Arma we Francji w czasie wysiedlania Żydów w Średniowieczu) i w czasie rewolucji uciekł z białogwardystami do Polski, do Krakowa. Tam, po skończeniu studiów architektonicznych odbył praktykę u mojego stryja Stefana. Chwalił sobie ten okres, gdyż pensję otrzymywał w dolarach. Z moim stryjem utrzymywał kontakt również w okresie powojennym, jako wybitny znawca miniatur, z okresu stanisławowskiego.

W Poznaniu mieszkał na ulicy Ostroroga, widziałem w jego mieszkaniu cenne zbiory miniatur. Po kilku latach pobytu w Poznaniu, atakowany w różny sposób przez miejscowych architektów przeniósł się na Śląsk do Zabrze.

W latach 1953 i 1954 wyjeżdżałem na zimowy urlop w góry do murowanego schroniska w Dolinie Chochołowskiej. Pamiętam te daty, bo w marcu 1953 zmarł Józef Stalin, a w marcu 1954 zmarł Bolesław Bierut. Jak to pamiętam — opowiem. Przebywałem w schronisku w Dolinie Chochołowskiej w Tatrach. Byłem tego dnia bardzo zmęczony, więc opalałem się na łączce przed budynkiem schroniska, w czasie gdy część naszych kolegów

poszła na Wyżnię Chochołowską. Przed południem ogłoszono przez radio, że zmarł Bolesław Bierut. Natychmiast założyłem narty i wybrałem się, by dogonić naszą grupę. Spieszyłem się bardzo, ale miejscami było bardzo stromo i musiałem jodelkować, gdy wreszcie zbliżyłem się do szałasów z moimi znajomymi, to byłem tak skonany, że padłem na kopę śniegu i przez kilka minut nie mogłem wymówić ani słowa. Wreszcie zakomunikowałem im „hio-bową” wiadomość o śmierci Bieruta, podaną przez agencję



TASS z Moskwy. Wróciliśmy do schroniska, które wówczas prowadził p. Jankowski, okazało się, że kilkanaście rodzin, wśród nich sporo Żydów, czeka na zamówione sanie z Zakopanego, aby pospiesznie wrócić do Warszawy, przewidywano trzęsienie polityczne na wysokich stanowiskach.

Wracając pociągiem do Poznania zauważyliśmy zmianę nazwy stacji, wyjeżdżaliśmy w góry przez Stalinochód, a wracaliśmy do Poznania przez stację Katowice.

W roku 1955 zacząłem pracować w Miejskiej Pracowni Urbanistycznej, zaproszony przez Leona Dietz d'Arme, który w tym czasie został mianowany Głównym Architektem Miasta Poznania do współpracy przy planach rozwoju przestrzennego dzielnicy Rataje w Poznaniu (konkurs ogólnopolski — w zespole architekta Tadeusza Płórczaka). Byłem aktywnym członkiem Stowarzyszenia Architektów Polskich i członkiem Zarządu Oddziału, a także przedstawicielem SARP-u w Miejskiej Komisji Urbanistyczno-Architektonicznej. Nie pamiętam już z jakiego powodu, może aby osłodzić pominięcie mojej kandydatury w pierwszych wyjazdach na Zachód, zostałem wytypowany do wyjazdu grupowego do Czechosłowacji. W tym wyjeździe miało wziąć udział wielu architektów z różnych miast całego kraju.

Z Poznania wyjechałem razem z kolegą z Miastoprojektu Andrzejem Weisem, na przełomie października i listopada. Przygotowania trwały krótko. Brałem tylko rzeczy najpotrzebniejsze. Ubranie miałem niby nowe, ale źle dopasowane. Wziąłem aparat fotograficzny „Zorka”,

kilka rolek filmu negatywowego, walizeczkę i byłem gotowy do drogi. Wjazd zaczynał się z Warszawy. Spotkał się wszyscy na peronie dworca głównego. Zajęliśmy miejsca w przedziałach i ruszyliśmy. Zapanował wesoły nastrój. Wszyscy byli w podobnym wieku, mieliśmy po 28-32 lata. W Katowicach dosiadło się jeszcze kilka osób z Krakowa. Pamiętam, że doszedł profesor Czerny i młody asystent Lisowski. Dojechaliśmy do granicy czeskiej w Cieszynie. Po przekroczeniu granicy i odprawie celnej w pociągu, przyszedł do nas przedstawiciel Związku Architektów Czechosłowacji. Był to wysoki, bardzo elegancko ubrany mężczyzna. Zaprosił nas do przeniesienia się do specjalnie oczekiwanego wagonu na innym peronie. Przeszliśmy tam i zajęliśmy miejsca w wagonie restauracyjnym. Miejsca były dla wszystkich, a stoliki nakryte i zastawione potrawami i napitkami. Było piwo „Pilzner”, wody mineralne, a na salaterkach sałatki, wędliny, szynka, baleron i salami. Takie bogate przyjęcie ciągnęło się przez całą drogę do Pragi. Był także obiad i podwieczorek. Za oknami urozmaicony widok przez całą drogę. Większość trasy do Pragi biegła wzdłuż doliny rzeki, na zboczach często były osiedla małych domków. Były to domki rekreacyjne, zupełnie nieznane wówczas w Polsce. Osiedli tych było dużo, każde inne, a cechą wspólną ich wszystkich było to, że składały się z powielanych kilkadziesiąt razy takich samych, powtarzalnych domków. Było to i ładne i wesołe i bardzo kolorowe.

Po drodze mijaliśmy miejscowość, w której zmarł i pochowany został mój Dziadek ze strony Mamy (Bieniasz), było to w czasie pierwszej wojny światowej.

Do Pragi dojechaliśmy po południu. Przed dworcem czekał autokar, którym zawieziono nas do hotelu. Hotel nazywał się Paříž (Paryż), obok pełno zabytków — wszystko w doskonałym stanie. Na ulicach i placach pełno samochodów, wśród nich przeważały bardzo stare czeskie modele pięknie utrzymane, z oryginalnymi detalami. W ogóle cała Praga wyglądała świetnie, żadnych zniszczeń, w odróżnieniu do polskich miast zniszczonych wojną i zaniedbanych ubóstwem gospodarczym. Wła-

wski Namesti tętniące życiem, wszystko czynne, piękne sklepy i lokale. Zwraçały uwagę szczególnie kawiarnie i lokale dansingowe ulokowane na piętrach i w pasażach gęsto rozsiianych wzdłuż alei. Miasto rozsiadło się nad małą rzeką Wełtawą, ale dzięki pracom inżynierskim zrobiono z niej rzekę o szerokości kilkuset metrów. Koryto rzeki zostało poprzdzielane poprzeczne wieloma progami, a między nimi pozostawiono głębsze koryta umożliwiające żeglugę. Nad Wełtawą piękny most Karola i drugi w osi ulicy przebiegającej przy Narodnim Divadle (Teatrze Narodowym). Po drugiej stronie rzeki-Hradczany, historyczne wzgórze z zamkiem królewskim i panującym nad całością wielkim pomnikiem Stalina w formie grupy ludzi stojących gęsiego. Bardzo dziwny pomnik. Zwiedzanie miasta zajęło nam kilka dni, byliśmy bardzo ciekawi wszystkiego i wiele zobaczyliśmy. Dzięki temu wyjazdowi zorganizowanemu przez SARP i Związek Architektów Czechosłowackich mogłem uwierzyć, że nasze opóźnienia związane ze zniszczeniami wojennymi może kiedyś w przyszłości uda się zlikwidować.

W hotelu okazało się, że jest odbiornik telewizyjny i że pod wieczór odbywają się seanse nadawane z praskiego studia. W pokoju klubowym przy hallu hotelowym stał aparat telewizyjny. Było to duże pudło wielkości bardzo dużego aparatu radiowego, oprócz całego osprzętu typowego dla radioodbiornika miał dwa prostokąty nad skalą, jeden zakryty płótnem to głośnik, drugi wielkości podwójnej pocztówki był ekranem. Świecił podobnie jak magiczne oko to jest kolorem neonowym, zielonkawo-niebieskim.

Pamiętam taki ekranik przed wojną, wielkości spodeczka w przyrządzie, który nazywał się oscyloskop i był wystawiony w sklepie elektryczno-radiowym na ulicy św. Marcina w Poznaniu. Wracać do telewizora w hotelu, to nie pooglądałem programu, bo był nudny, jakiś starszy pan siedział za biurkiem i gadał, a chłopiec w mundurku, chyba harcerskim, pilnie go słuchał. Nic nie rozumiałem, a obraz był statyczny i po kilkunastu minutach miałem tego dość i już więcej nie poszedłem na taką imprezę.



Zupełnie inaczej rzecz się miała z kawiarniami. Wybraliśmy się tam kilka razy, choć w pierwszy wieczór byliśmy zaproszeni do Związku Architektów. Był to wielki niewypał. Wszyscy obecni ze strony czeskiej byli ubrani wieczorowo w smokingach i frakach. My w biedniutkich ubrankach i kolorowych koszulach. Byliśmy zażenowani wystawnością przyjęcia, lokalem z pięknymi wnętrzami w stylu rokoka pełnymi luster, bieli i złocień z jedwabnym tapicerowaniem mebli, z przepięknymi żyrandolami. Były przemówienia, których zupełnie nie rozumieliśmy. Język czeski jest dla nas śmieszny, ale trzeba było być poważnym. Gdy zasiadliśmy do kolacji i wygłoszone zostały wszystkie możliwe toasty, okazało się, że i po naszej stronie też jest śmiesznie. Profesor Czerny zajął pozycję seniora i coś plół „ni z gruchy ni z pietruchy”. Byliśmy poprzdzielani przy stole Czechami, więc jakoś w końcu, mimo początkowych trudności rozgadaliśmy się i roztawialiśmy się po przyjęciu w atmosferze bardzo przyjaznej. Umówiliśmy się z kilku młodymi architektami na wspólne zwiedzanie ich pracowni i realizacji w Pradze. Nazajutrz był jednak telefon do nas w hotelu, odwołujący spotkanie z bliżej niezrozumiałych powodów. Prawdopodobnie chodziło o obawy przed prywatnymi kontaktami z cudzoziemcami. Ale ten epizodzik nie miał znaczenia, bo byliśmy stale zajęci różnymi wizytami i zwiedzaniem miasta, wg programu zorganizowanego przez gospodarzy. Następnego dnia było zwiedzanie Pragi historycznej, a więc mostu Karola, ratusza z zegarem, zamku na Hradczanach, uliczki rzemieślników, a na zakończenie piwiarni u podnóża zamku i muzeum, do którego dziwnym trafem wchodziliśmy przez okno, bo chyba była niedziela, pamiętam, że w kilku mężczyzn podsadzaliśmy koleżankę z Krakowa, bo była bardzo ciężka i dopiero po paru próbach udało się ją wepchnąć do sali. Wielkie wrażenie zrobiły na mnie wnętrza zamku na Hradczanach. Byłem zachwycony utrzymaniami w oryginalnej formie ze średniowiecza wnętrzami, często bardzo surowymi z salą tronową z czasów naszego króla Bolesława Chrobrego. Uniwersytet Karola — tak zwane Karolineum było właśnie w trakcie robót konserwatorskich i wnętrzowych, o pięknie zharmonizowanych współczesnych meblach na tle surowego gotyku. Był także spektakl w Teatrze Narodowym, niestety nie usłyszałem ze sceny jak brzmi język czeski ze sceny, bo wystawiano balet „Kopciuszek”.

Obejrzeliliśmy także nowe budownictwo, trochę mieszkaniówki i kilka hal sportowych, w tym wielką halę sportową za Hradczanami. Krążąc po śródmieściu zaszliśmy późnym popołudniem do kawiarni na Włocławskim Na-

mesti. W sali na piętrze dużo stolików i masa ludzi. Grała orkiestra jak w Poznaniu u Kruka, ale atmosfera zupełnie inna. Muzyka taneczna przeplatana występami pieśniarek, zmieniających się kilka razy w czasie popołudnia i wieczoru. Oprócz tego konkursy rozrywkowe. Ludzie brali chętnie udział w ogólnej zabawie, inaczej jak u nas. W polskich lokalach wszyscy są bardzo spięci i bardzo intymni. Każdy stolik to zamknięta twierdza, w Pradze bawią się wszyscy razem, ale nie widzi się natręstwa, jest jakaś linia porozumienia, która nie jest przekraczana w żadną stronę. Była urządzana loteria o nazwie „Tombole”, brały udział numerowane bilety wstępu. Najpierw kelner widząc, że jesteśmy Polakami stworzył nastrój specjalnej gościnności, potem powitał nas bardzo serdecznie konferansjer, a w końcu wylosowano na nasz numer stolika nagrodę wieczoru, w postaci tortu orzechowego. Byliśmy bez forsy, więc nie znaleźliśmy się zbyt szarmancko i nie postawiliśmy niczego w rewanżu, ale Czesi zapakowali nam tort do kartonu i wróciliśmy z nim wieczorem do „Pažiža”.

W podróż po Czechosłowacji wyjechaliśmy nowym autokarem marki Škoda, należącym do firmy Czedok, odpowiednika naszego Orbisu. Kierowca autobusu był byłym kierowcą ambasadora czeskiego w Madrycie, a pilotem młodziutki drań, chudy jak szczapa, student humanistyki Uniwersytetu Praskiego. Drugim jego etatem była chyba „bezpieka”.

Mimo że był pilotem, to właściwie przez dwa tygodnie nie miał nic do powiedzenia, tym dziwniej, że znał trochę język polski. Jechaliśmy na południe do Taboru, po drodze widzieliśmy pięknie utrzymane miasteczka. Wreszcie, na trasie przyszłej autostrady, piękny nowy most nad dużym jarem, właściwie kanionem. Most żelbetowy wsparty na łuku jednoprzęsłowym rozpiętości paruset metrów. Była okazja przy pięknej pogodzie zrobienia zdjęć. W Taborze zwiedziliśmy kościół, w którym wyglądał swoje nauki Hus. Wieczorem byliśmy w Brnie. Noc w hotelu, a od rana wizyta w pracowni urbanistycznej. Projektantem planu rozwoju Brna był urbanista zaproszony z Pragi, który miał za sobą już kilka prac planistycznych w innych miastach Czechosłowacji. Wyjaśniał nam, gdzie planują dzielnicę przemysłową, gdzie mieszkalnictwo, centrum handlowe i tereny targowe, oraz inne elementy miasta na wzór znanej nam karty ateńskiej, która wówczas święciła triumfy w planowaniu miasta.

Zdzisław PIWOWARCZYK
Foto: archiwum autora

„Quo vadis” w kinematografii i kinie

18 lutego 1896 r. Sienkiewicz ukończył „Quo vadis”, 29 lutego „Gazeta Polska” zakończyła druk, a

wkrótce potem powieść ukazała się nakładem książkowym, wydany przez Gebethnera i Wolffa. Od samego początku towarzyszyło utworowi ogromne zainteresowanie czytelników, historyków, krytyków literatury, wydawców i tłumaczy. Szybko powieść zyskała ogromną popularność. W „epopei chrześcijańskiej” wskazywano na uniwersalne wartości, konfrontację świata pogańskiego i chrześcijańskiego, wyraziste sylwetki bohaterów, fabułę nakreśloną z ogromnym epickim rozmachem i sugestywną plastyką.

Z atrakcyjności fabularnej „Quo vadis” korzystali muzycy, malarze, rzeźbiarze, powieść zaadaptowały teatr dramatyczny, operowy, estrada koncertowa, are-

na cyrkowa oraz zupełna wówczas nowość — film. „Quo vadis” stało się chętnie i często pokazywanym

utworem we fragmentach czy całości (w zależności od osiągnięć i możliwości technicznych) na taśmie filmowej, a Sienkiewicza okrzyknięto najlepszym scenarzystą filmowym.

Wraz z rozwojem kinematografii światowej prześledzić można kolejne próby przeniesienia wątków „Quo vadis” na ekrany kinowe. Początkowo, w sposób nieporadny, pokazywano pojedyncze lub kilka scen inspirowanych utworem, z czasem wierność adaptacji i możliwości techniczne doskonalily się. O

pierwszych z nich niewiele wiemy. Są to pojedyncze nieme sceny, klatka po klatce zapisane w ruchomym obrazie. Ukazują starożytny Rzym, cesarza Nerona, arenę cyrkową a na niej walczących gladi-





Uchwała Nr 415/XXXVII/01

Rady Miejskiej w Śremie
z dnia 27 września 2001 r.

**w sprawie: uchylenia uchwały Nr 266/XXV/2000 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 30 czerwca 2000 r.
w sprawie prywatyzacji Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Śremie Spółka
z ograniczoną odpowiedzialnością.**

Na podstawie art. 18 ust. 2 pkt 9 g ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 1996 r. Nr 13 poz. 74 ze zm.), art. 20 ust. 1 ustawy z dnia 20 grudnia 1996 r. o gospodarce komunalnej (Dz. U. z 1997 r. Nr 9 poz. 43 ze zm.) i art. 32 ust. 1, art. 68 ust. 1 i 2 ustawy z dnia 30 sierpnia 1996 r. o komercjalizacji i prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych (Dz. U. z 1996 r. Nr 118 poz. 561 ze zm.) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

§ 1

Uchyla się uchwałę Nr 266/XXV/2000 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 30 czerwca 2000 r. w sprawie prywatyzacji Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Śremie Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

§ 2

Wykonanie uchwały powierza się Zarządowi Miejskiemu w Śremie.

§ 3

Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia.

§ 4

Uchwała podlega ogłoszeniu na tablicach ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Śremie oraz w prasie lokalnej.

*Bolesław WOŚKOWIAK
PRZEWODNICZĄCY RADY*

Uchwała Nr 419/XXXVII/01

Rady Miejskiej w Śremie
z dnia 27 września 2001 r.

**o zmianie: uchwały w sprawie wyznaczenia targowisk na terenie miasta Śrem,
ustalenia regulaminów i opłaty targowej.**

Na podstawie art. 15 i art. 19 pkt 1 lit. a, pkt 2 i 3 ustawy z dnia 12 stycznia 1991 r. o podatkach i opłatach lokalnych (Dz. U. Nr 9 poz. 31 ze zm.), w związku z art. 18 ust. 2 pkt 8 i art. 40 ust. 1 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 1996 r. Nr 13 poz. 74) Rada Miejska w Śremie uchwala co następuje:

§ 1

W uchwale Nr 140/XIX/95 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 12 grudnia 1995 r. w sprawie wyznaczenia targowisk na terenie miasta Śrem, ustalenia regulaminów i opłaty targowej, zmienionej uchwałą Nr 238/XXX/96 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 30 października 1996 r., uchwałą Nr 341/XL/97 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 9 grudnia 1997 r., uchwałą Nr 18/III/98 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 18 grudnia 1998 r., uchwałą Nr 177/XVI/99 Rady Miejskiej w

Śremie z dnia 2 grudnia 1999 r., uchwałą Nr 233/XXII/2000 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 24 marca 2000 r., uchwałą Nr 267/XXV/2000 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 30 czerwca 2000 r., i uchwałą Nr 330/XXIX/2000 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 15 grudnia 2000 r. wprowadza się następujące zmiany:

W wykazie opłat targowych, stanowiących załącznik Nr 3 do uchwały pkt 6 otrzymuje brzmienie: „Stawka wymieniona w ust. 1 ulega obniżeniu o 50% w przypadku prowadzenia sprzedaży produktów rolnych przez producentów, w tym producentów z działów specjalnych w produkcji rolnej. Obniżenie stawek następuje po okazaniu aktualnego dowodu wpłaty podatku rolnego lub decyzji podatkowej (PIT 7).”

§ 2

Wykonanie uchwały powierza się Zarządowi Miejskiemu w Śremie.

§ 3

1. Uchwała podlega ogłoszeniu w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.
2. Uchwała wchodzi w życie z dniem 1 stycznia 2002 r.

Bolesław WOŚKOWIAK
PRZEWODNICZĄCY RADY

Uchwała Nr 422/XXXVII/01

Rady Miejskiej w Śremie
z dnia 27 września 2001 r.

**o zmianie: uchwały w sprawie Gminnego Programu Profilaktyki
i Rozwiązywania Problemów Alkoholowych Gminy Śrem na 2001 r.**

Na podstawie art. 41 ust. 1 i 2 ustawy z dnia 26 października 1982 r. o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi (Dz. U. Nr 35, poz. 230 ze zmianami), Rada Miejska w Śremie uchwała, co następuje:

§ 1

W Gminnym Programie Profilaktyki i Rozwiązywania Problemów Alkoholowych Gminy Śrem na 2001 r., stanowiącym załącznik do uchwały nr 321/XXVIII/2000 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 30 listopada 2000 r. w sprawie Gminnego Programu Profilaktyki i Rozwiązywania Problemów Alkoholowych Gminy Śrem na 2001 r. wprowadza się następujące zmiany:

1) Punkt IV otrzymuje brzmienie:

1. Działalność Gminnej Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych w Śremie - w szczególności w podejmowaniu czynności zmierzających do orzeczenia o zastosowaniu wobec osoby uzależnionej od alkoholu obowiązku poddania się leczeniu w zakładzie leczenia odwykowego.
2. Za udział w pracach Gminnej Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych w Śremie członkowie Komisji otrzymują wynagrodzenie w wysokości 75 zł brutto (słownie złotych siedemdziesiąt pięć) za jedno posiedzenie.”

2) Punkt VIII otrzymuje brzmienie:

„VIII. Ustalenie szczegółowych zasad wydawania i cofania zezwoleń na prowadzenie sprzedaży napojów alkoholowych przeznaczonych do spożycia na miejscu lub poza miejscem sprzedaży oraz kontrolę przestrzegania zasad obrotu tymi napojami:

1. O zezwolenie na sprzedaż napojów alkoholowych mogą ubiegać się przedsiębiorcy posiadający punkt sprzedaży, usytuowany zgodnie z zasadami określonymi odrębną uchwałą Rady Miejskiej w Śremie.
2. Ubiegający się o wydanie zezwolenia na sprzedaż napojów alkoholowych składa pisemny wniosek do Burmistrza Śremu.
 - a) W przypadku ubiegania się po raz pierwszy należy załączyć kopię wypisu z Krajowego Rejestru Sądowego (w przypadku gdy przedsiębiorca nie jest zarejestrowany w ewidencji działalności gospodarczej prowadzonej w Urzędzie Miejskim w Śremie), mapę sytuacyjną z naniesioną lokalizacją obiektu, w którym będzie prowadzona sprzedaż alkoholu, kopię dokumentu stwierdzającego dokonanie odbio

ru budowlanego oraz kopię dokumentu stwierdzającego dokonanie odbioru sanitarnego.

- b) W przypadku powtórznego ubiegania się o zezwolenie na sprzedaż napojów alkoholowych, przy niezmiennych warunkach sprzedaży, należy dołączyć kopię odbioru sanitarnego.

Przy zmienionych warunkach sprzedaży należy załączyć mapę sytuacyjną z naniesioną lokalizacją obiektu, w którym będzie prowadzona sprzedaż alkoholu, kopię dokumentu stwierdzającego dokonanie odbioru budowlanego oraz kopię dokumentu stwierdzającego dokonanie odbioru sanitarnego.

3. Wniosek z załączonymi dokumentami składany jest w Zespole Obsługi Klienta.

4. Ocenę punktu sprzedaży pod kątem zgodności z prawem jego usytuowania i w oparciu o oględziny punktu, pod względem dostosowania do warunków sprzedaży napojów alkoholowych dokonuje Pion Edukacji i Usług Społecznych Urzędu Miejskiego w Śremie, zasięgając opinii Zespołu Planowania Przestrzennego Urzędu Miejskiego w Śremie dotyczącej lokalizacji punktu.

5. Wnioski o wydanie zezwolenia na sprzedaż napojów alkoholowych rozpatrywane są na zasadach i w trybie kodeksu postępowania administracyjnego (Dz.U. z 2000 r., Nr 98, poz. 1071 ze zmianami), tj. licząc od dnia wszczęcia postępowania nie później niż w ciągu miesiąca, a w sprawach szczególnie skomplikowanych - nie później niż w ciągu dwóch miesięcy.

6. W roku nabycia lub utraty ważności zezwolenia na sprzedaż napojów alkoholowych, przedsiębiorca uiszcza opłatę w wysokości proporcjonalnej do okresu ważności zezwolenia, z tym, że pierwsza opłata wnoszona jest przed wydaniem zezwolenia.

W każdym kolejnym roku kalendarzowym objętym zezwoleniem, przedsiębiorca wnosi opłatę, w terminie do dnia 31 stycznia danego roku wraz z pisemnym oświadczeniem o wartości sprzedaży napojów alkoholowych w roku poprzednim.

Opłaty są wnoszone na rachunek bankowy gminy Śrem.

7. Wszczęcie postępowania w sprawie cofnięcia zezwolenia na sprzedaż napojów alkoholowych z przyczyn określonych w art. 18 ust. 6 ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi (Dz. U. z 1982 r. Nr 35, poz. 230 ze zmianami) następuje na podstawie protokołu kontroli prowadzonej przez Straż Miejską, Policję oraz osoby posiadające upoważnienie imienne Burmistrza Śremu do kontroli w zakresie przestrzegania zasad określonych w zezwoleniu i przepisów ustawy, a w szczególności zakazu sprzedaży napojów alkoholowych osobom nieletnim i nietrzeźwym.

8. W przypadku nieprzestrzegania zasad obrotu napojami alkoholowymi, zawartymi w ustawie, a w szczególności sprzedaży alkoholu osobom nieletnim i nietrzeźwym oraz powtarzającego się w miejscu sprzedaży lub najbliższej okolicy zakłócania porządku publicznego w związku ze sprzedażą napojów alkoholowych przez daną placówkę, Gminna Komisja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych wydaje w formie postanowienia opinię w przedmiocie cofnięcia zezwolenia.

9. Wszystkie punkty sprzedaży napojów alkoholowych podlegają kontroli prowadzonej przez Straż Miejską, Policję oraz osoby posiadające upoważnienie imienne Burmistrza Śremu do kontroli w zakresie przestrzegania zasad określonych w zezwoleniu i przepisów ustawy, a w szczególności zakazu sprzedaży napojów alkoholowych osobom nieletnim i nietrzeźwym.

§ 2

Wykonanie uchwały powierza się Zarządowi Miejskiemu w Śremie.

§ 3

Traci moc uchwała Nr 310/XXVII/2000 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 27 października 2000 r. w sprawie wynagradzania członków Gminnej Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych w Śremie

§ 4

Uchwała podlega ogłoszeniu w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

§ 5

Uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od dnia jej ogłoszenia.

Bolesław WOŚKOWIAK
PRZEWODNICZĄCY RADY

Uchwała Nr 423/XXXVII/01

Rady Miejskiej w Śremie

z dnia 27 września 2001 r.

w sprawie: ustalenia dla terenu gminy Śrem liczby punktów sprzedaży napojów zawierających powyżej 4,5% alkoholu (z wyjątkiem piwa) przeznaczonych do spożycia poza miejscem sprzedaży i w miejscu sprzedaży oraz zasad usytuowania na terenie gminy Śrem miejsc sprzedaży napojów alkoholowych i warunków sprzedaży tych napojów.

Na podstawie art. 12 ust. 1 i 2 ustawy z dnia 26 października 1982 r. o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi (Dz. U. Nr 35, poz. 230 ze zmianami) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

§ 1

1. Ustala się na obszarze gminy Śrem liczbę 50 punktów sprzedaży napojów powyżej 4,5% zawartości alkoholu (z wyjątkiem piwa) przeznaczonych do spożycia poza miejscem sprzedaży.
2. Ustala się na obszarze gminy Śrem liczbę 60 punktów sprzedaży napojów powyżej 4,5% zawartości alkoholu (z wyjątkiem piwa) przeznaczonych do spożycia w miejscu sprzedaży.

§ 2

Ustala się następujące zasady usytuowania punktów sprzedaży napojów alkoholowych przeznaczonych do spożycia na miejscu lub poza miejscem sprzedaży (z wyjątkiem sprzedaży detalicznej piwa):

- 1) punkty sprzedaży sytuuje się w odległości nie mniejszej niż 100 metrów od szkół i innych placówek oświatowo-wychowawczych, opiekuńczych, obiektów kultu religijnego, zakładów opieki zdrowotnej i społecznej, dworców kolejowych i autobusowych, obiektów sportowych, plaż i kąpielisk, obiektów jednostki wojskowej, przy czym odległość tę mierzy się wg faktycznej drogi dojścia od wyjścia lub wejścia do wyżej wymienionych obiektów do wejścia do budynku z punktami sprzedaży za wyjątkiem lokali gastronomicznych zlokalizowanych w hotelach,
- 2) napoje alkoholowe (z wyjątkiem piwa) przeznaczone do spożycia poza miejscem sprzedaży mogą być sprzedawane w punktach sprzedaży będących sklepami ogólnospożywczymi z wyodrębnionymi stoiskami do sprzedaży tych napojów oraz w branżowych sklepach monopolowych, a także w wydzielonych stoiskach w innych placówkach handlowych, których powierzchnia handlowa (bez zaplecza i magazynów) w mieście jest nie mniejsza niż 30 m², a dla sklepów wiejskich 25 m²,
- 3) zezwolenia na sprzedaż napojów alkoholowych powyżej 4,5% do 18% zawartości alkoholu oraz powyżej 18% zawartości alkoholu przeznaczonych do spożycia na miejscu wydaje się tylko przedsiębiorcom prowadzącym restauracje, bary, kawiarnie, cukiernie i winiarnie,
- 4) zezwolenie na sprzedaż napojów alkoholowych powyżej 18% zawartości alkoholu przeznaczonych do spożycia na miejscu udziela się wnioskodawcom tylko dla tych placówek, które serwują gorące posiłki z własnej kuchni.

§ 3

Wykonanie uchwały powierza się Zarządowi Miejskiemu w Śremie.

§ 4

Traci moc uchwała nr 274/XXXIV/97 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 21 marca 1997 r. w sprawie ustalenia dla terenu Gminy Śrem liczby punktów sprzedaży napojów zawierających powyżej 4,5% alkoholu (z wyjątkiem piwa) przeznaczonych do spożycia poza miejscem sprzedaży oraz zasad usytuowania na terenie Gminy Śrem miejsc sprzedaży napojów alkoholowych i warunków sprzedaży tych napojów oraz wprowadzenia zakazu spożywania napojów alkoholowych zmieniona uchwałą nr 129/XII/99 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 24 czerwca 1999 r. oraz uchwałą nr 220/XXI/2000 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 25 lutego 2000 r.

§ 5

Uchwała podlega ogłoszeniu w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

§ 6

Uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od dnia ogłoszenia.

Bolesław WOŚKOWIAK
PRZEWODNICZĄCY RADY

torów lub mękę chrześcijan.

Przy okazji omawiania ekranizacji „Quo vadis” należy sięgnąć do terminu „peplum”. „Peplum” oznacza szatę wierzchnią; współcześnie jest umowną nazwą odmiany widowiska o tematyce mitologiczno-historycznej produkowanego głównie przez kinematografię hollywoodzką i włoską w latach 50. i 60. W przypadku „peplum” nie mamy na myśli rzetelnej, źródłowej rekonstrukcji określonych zdarzeń i faktów, które przeplatają się z tym, co legendarne lub mityczne. Widowiska takie realizowano z wielkim rozmachem i ogromnym powodzeniem już w okresie kina niemego, więc do gatunku zaliczyć można najwcześniejsze obrazy, inspirowane wątkami amerykańskiej ekranizacji z 1951 r. włącznie.

Mało wiemy o filmie zrealizowanym we Francji przez firmę Pathé. Reżyserem był Lucien Nonguet, film składa się z jednej sceny, w której cesarz Neron spogląda na arenę i symbolicznym gestem (kciuk skierowany w dół) skazuje na śmierć pokonanego gladiatora.

Ekranizacja „Quo vadis” z 1912 r. nakręcona została z ogromnym rozmachem i przy użyciu nowatorskich środków artystycznych, stała się również przełomowa w historii światowej kinematografii. Film Enrico Guazzoniego należał do najbardziej prestiżowych i kosztownych (66 tys. lirów) europejskich produkcji zrealizowanych przed 1914 r. Współpra-

cował z Guazzonim Max Reinhardt. Dzięki niezwyklej inscenizacji ten długi jak na tamte lata film (2300 m taśmy — 2 godz. projekcji) odniósł światowy sukces artystyczny i finansowy. Obraz prezentowano w najsławniejszych salach świata: Gaumont Palace w Paryżu, Albert Hall w Londynie, Astor Theatre na

Broadwayu w Nowym Jorku. O światowym sukcesie filmu zapewne zadecydowały: monumentalizm, igrzyska w Circus Maximus, śmiałe sceny erotyczne (orgia na dworze Neronu miała specjalną „bardziej śmiałą” wersję eksportową), sceny: chrześcijanie rzucający kamieniami, pożar Rzymu, zbrodnie Neronu. Realizacja Guazzoniego zapoczątkowała nowoczesną sztukę filmową, odbierana była jako dzieło sztuki przeznaczone dla każdego odbiorcy. Film zawierał sceny plenerowe, trójwymiarowe dekoracje, tłumy statystów, błyskotliwie zrealizowane, pełne dynamizmu sceny wyścigów rydwanów czy walki Ursusa z tygrysem. Zaprezentowana również została filmowa perspektywa zdarzenia i ludzie ukazywani w różnym planie. W Polsce

„Quo vadis” Guazzoniego również święciło triumfy. Był to jedyny film wyświetlany w miastach i miasteczkach we wszystkich zaborach przed 1914 r. W prasie odnotowano entuzjastyczne przyjęcie publiczności oraz oklaski przy poszczególnych scenach, co wcześniej nie zdarzało się w kinematografach. Największy zachwyt budziły sceny igrzysk w Circus Ma-

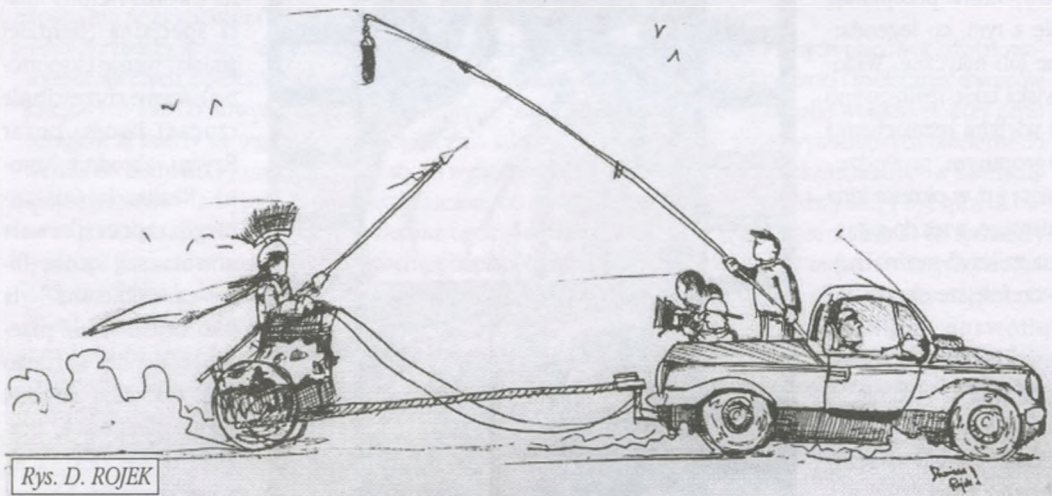


ximus, pożar Rzymu wykonany na kolorowanej na czerwono taśmie oraz męczeństwo chrześcijan.

W listach H. Sienkiewicza natknijemy się na informację o francuskiej adaptacji „Quo vadis” rywalizującej i zrealizowanej równocześnie z włoską. Przeczytamy, że autor nie wydał zgody na tę realizację filmową. Pisarz tak komentował zdarzenie: W Warszawie pięć kinematografów produkuje „Quo vadis”. Kompania francuska Film d'Art, z którą przed pięciu laty zawarłem kontrakt procesuje się z rzymską Cines.

Kolejną wersją „Quo vadis” był w 1924 r. film produkcji włosko-niemieckiej. Reżyserowali wspólnie

nym susem do łoża cesarskiej, porywa biednego, starożytnego Senecę - jakiegoś Włocha — i ucieka z nim na arenę. Po chwili leży trup. Człowiek nie żyje, człowiek, który niedawno temu był filozofem Senecą. Mimo dramatycznych wydarzeń na planie, obraz ten otrzymał pochlebne recenzje. Film zrealizowano za pomocą dostępnych środków technicznych, skompletowano gwiazdorską obsadę z Janningsem — Neronem, dynamicznie zrealizowano sceny zbiorowe z udziałem tłumy statystów. Karol Irzykowski w „Wiadomościach Literackich” tak oceniał adaptację: Ale postęp w technice jest — lwy wdrapują się na kolumny, pod-



Rys. D. ROJEK

Georg Jackoby i Gabriel d'Annunzio. Rolę Nerona zagrał jeden z najślawniejszych aktorów filmu niemego — Emil Jannings. Realizacja trwała kilka lat, nie obyło się bez problemów i skandali. Najbardziej dramatycznym wydarzeniem stała się śmierć jednego z aktorów, późniejsze śledztwo wykazało, że przyczyną była zła organizacja zdjęć. Emil Jannings tak wspominał tragiczny wypadek: W scenie cyrkowej, kiedy na arenie biegały wygłodniałe lwy, zażądałem dublera. Rzeczywiście zastępca dubluje za mnie, a przy nim w łożu cesarza ma siedzieć stary wychowawca, filozof Seneca, którego matka Agrypina przyjęła do krnąbrnego i zuchwałego chłopca. Młody d'Annunzio prowadzi komendę zdjęć. Obraz nosi napis: „Nero drażni lwy”. W międzyczasie zdarza się wypadek: lwica wskakuje jed-

skakują do góry po jakiegoś nieboraka, który ratuje się na festonach. Autentycznie zrobiona jest walka Ursusa z bykiem — może tam poza obrębem filmu ktoś Ursusowi pomagał, pętając bykowi nogi, ale przebieg zdarzenia jest wiarygodny, w miarę długi i trzyma się wiernie tekstu Sienkiewiczowskiego — mamy tu nawet słynną chwilę, gdy Ursus zapiera się jedną nogą w piasku. Recenzent chwali grę aktorów — zwłaszcza Janningsa — wlicza sceny zbiorowe z udziałem statystów, odnotowuje zachowanie realiów historycznych. Ta wersja „Quo vadis” była niezwykle popularna w Polsce, dystrybuowano ją w kinach nawet po wprowadzeniu konkurencyjnych filmów dźwiękowych. W historii światowej kinematografii zapisała się jako największe osiągnięcie kina niemego.

Następne projekty przeniesienia powieści H. Sienkiewicza na ekrany kin zostały uniemożliwione poprzez wojny. W 1949 r. Luis B. Majer chciał nakręcić „Quo vadis” z hollywoodzkim rozmachem. Budżet miał wynosić 7 mln dolarów, reżyserię zaproponowano Johnowi Hustonowi. Do roli Ligii zaproszono Elizabeth Taylor, a Neron miał zagrać Gregory Peck. Projekt ten nie został zrealizowany.

W dwa lata później, właśnie w wytwórni Metro Goldwyn Mayer powstała adaptacja „Quo vadis” pomyślana jako superprodukcja i widowisko w hollywoodzkim stylu. Film reżyserował Merwyn Le Roy, imponujące były nakład finansowy, gwiazdorska obsada: Deborah Kerr, Robert Taylor, Peter Ustinow, liczba statystów — 20 tys. (wśród nich nikomu nieznana, po raz pierwszy na ekranie Sophia Loren), użyto kolorowej taśmy filmowej, na której kręcono poszczególne sceny (5 km). I mimo, że adaptacja ta nie pozostała wierna powieści H. Sienkiewicza, czy pogubiło się w realiach historycznych, odebrana była jako monumentalne widowisko, które odniosło ogromny sukces frekwencyjny i finansowy. Jan Lechoń, powracający często do Sienkiewiczowskich lektur, opisał wrażenie po obejrzeniu filmu w „Dzienniku”. Poeta uznał bogactwo i rozmach inscenizacyjny filmu, ubolewał jednak nad tym, że hollywoodzcy barbarzyńcy dokonali na Sienkiewiczu jakiejś operacji zupełnie niedozwolonej. (...) I dlatego przede wszystkim mimo wszystkich przepychów jest on kiczem. Polscy widzowie z tą wersją filmową zapoznali się dopiero w latach 80.

Kolejny film „Quo vadis” znów został wyprodukowany we Włoszech. Telewizja RAI rozpoczęła produkcję serialu (6 odc.) reżyserowanego przez Franco Rossiego. Obsada aktorska była międzynarodowa: Marie — Therese Relin, Francesco Quinn, Klaus Maria Brandauer, Max von Sydow. Reakcje widzów skrajne, podkreślano wizualność obrazu, koszt produkcji, niektóre interpretacje bohaterów (św. Piotr, Neron). W Polsce emisja serialu rozpoczęła się 31.01.1987 r., a recepcja była bardzo krytyczna. Ganiiono odtwórców ról Ligii i Winicjusza, brak zgodności z fabułą Sienkiewiczowską i realiami historycznymi.

I wreszcie po 105 latach od ukazania się powieści polski czytelnik i widz doczekał się pierwszej polskiej ekranizacji dzieła Sienkiewicza. Od Kilkunastu miesięcy w prasie i telewizji mogliśmy śledzić proces realizacji, a ostatnio premierę największej superprodukcji w historii polskiej kinematografii. Pierwsi recenzenci podkreślają pietyzm, z jakim odtworzono starożytny Rzym, wierność powieści, zachwycają się wspólną grą aktorów, porywającymi scenami zbiorowymi i wzruszającą muzyką. Aby skonfrontować te opinie z własnymi wrażeniami, najlepiej sięgnąć do lektury „Quo vadis”, a następnie udać się do kina i obejrzeć najnowszą adaptację „najchętniej filmowanej powieści”.

Lucyna DRAJEWSKA

* * *

Filmowe adaptacje fragmentów i powieści „Quo vadis” H. Sienkiewicza:

- 1899 — „Neron wypróbowuje truciznę na niewolnikach”, film zrealizowany w wytwórni braci Lumière
- 1901 — „Quo vadis” reż. L. Noduet; „Męczeństwo chrześcijan” reż. F. Zecca
- 1908 — „Neron podpalający Rzym” reż. E. Porter; „Neron” reż. L. Maggio
- 1909 — „W czasach pierwszych chrześcijan” reż. A. Calmettes
- 1912 — „Quo vadis” reż. E. Guazzoni
- 1913 — „Quo vadis” Film d'Art
- 1924 — „Quo vadis” reż. G. d'Annunzio, G. Jacoby
- 1951 — „Quo vadis” reż. M. Le Roy
- 1985 — „Quo vadis” reż. F. Rossi
- 2001 — „Quo vadis” reż. J. Kawalerowicz

Muzeum Śremskie

zaprasza na wystawę

Quo vadis

w dniach 28 X — 30 XI.

Otwarcie wystawy o godz. 15.30

POROZMAWIAJMY O ... SZTUCE, CZYLI KĄCIK JEJ AMATORA (NR 16)

Czy Don Kichot i Neron byli artystami?

czyli o umiejętności wizualizacji, ale także o coraz rzadszej umiejętności myślenia.

*Życie jest to opowieść idioty,
pełna wrzasku i wściekłości, nic nie znacząca.*

William Shakespeare

Wydarzenia 11 września 2001 roku zmieniły świat lub, mówiąc ściślej, rozpoczęły jego radykalną zmianę. To już wiemy. Przekroczone zostały ostatnie bariery psychologiczne. Ludzie globalnej wioski obejrzeni „na żywo” eksplodujące samoloty, a potem walące się symbole militarnej potęgi i ekonomicznej stabilizacji. Zginęły męczeńską śmiercią tysiące niewinnych i garstka fanatyków. Wszyscy straciliśmy resztki poczucia bezpieczeństwa. Odtąd można wszystko i każdy to zobaczył.

Kiedy pod ciosami barbarzyńców ginęła pierwsza w dziejach wielonarodowa, wielokulturowa cywilizacja rzymska wraz z jej osiągnięciami i z oświeconymi obywatelami zniknęła z powierzchni europejskiej ziemi — sztuka. Sentencja mówi: „Muzy na wojnie milczą”. Z pewnością — ale rzecz w tym by były wtedy cicho, ale dalej żyły z nami, nie odeszły! Są bardzo potrzebne. Sztuka obdarza ludzi wieloma wartościami. Począwszy od ozdoby szarej egzystencji, chwili wytchnienia, dekoracyjności poprzez ekspresję emocji, prezentacji myśli rodzących się i już ukształtowanych poglądów aż do ... właśnie, do czego? - do wizualizacji, symulacji. To modne słowa w epoce komputerów. Określają umiejętność tradycyjnie zwaną wyobraźnią i od zawsze ściśle związaną ze sztuką.

Hieronim Bosch, wielki malarz niderlandzki, był świadkiem jednej z kamawałowich uroczystości i pochodu „z sianem”. Wyśmiewano w nim szaleńczą pogoni za ułudą materialnych bogactw, których symbolem jest właśnie siano. Wtedy powstał zamysł arcydzieła Boscha,

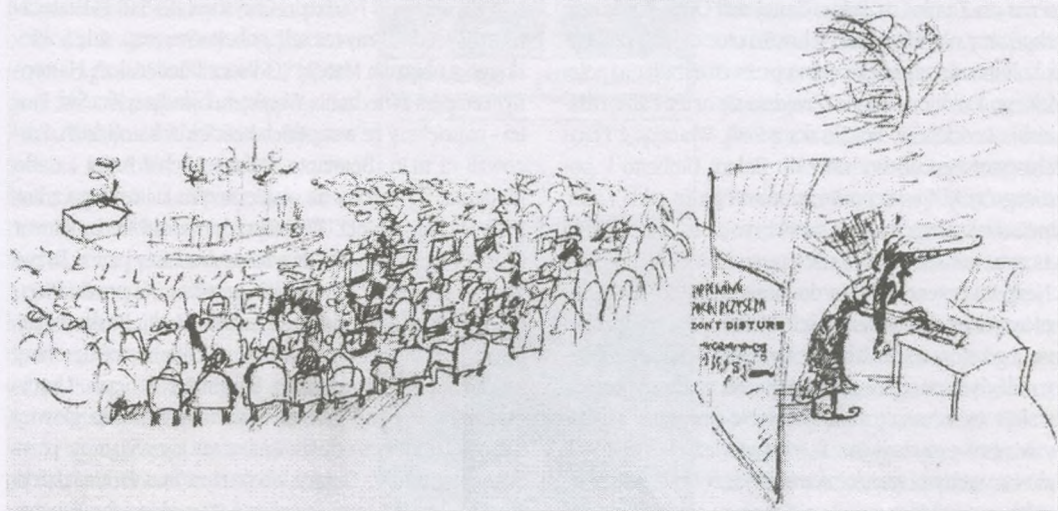
tryptyku pt. „Wóz z sianem” (patrz okładka). Filip II, król Hiszpanii, jeden z głównych twórców jej potęgi, „największy król katolicki” walczący z papieżem Pawłem IV, ten sam, który naszej królowej Bonie ukradł „sumy neapolitańskie” i kazał ją zgładzić, ten co wysłał księcia Albę, by spacyfikował Niderlandy, ten który popełnił wiele, wiele nieprawości w imię fanatycznej idei — uwielbiał patrzeć godzinami na tę wizję. Zakupił obraz Boscha w ok. 60 lat po śmierci malarza. Król zmarł w odosobnieniu, w mniszej celi Eskurialu, pokutując za swoje grzechy.

Szczególnie przejmujący jest widok dwóch wież - z prawego skrzydła tryptyku. Skupiając na nim wzrok przenosimy się w koszmarny pejzaż, gdzie niewiele jest światła. Zwracamy uwagę na plan pierwszy, gdzie kręci się mnóstwo różnokolorowych postaci. Widzimy pierwszą wieżę. Trwa jej budowa lub odbudowa. Postacie nie mają jednak wiele wspólnego z codziennym widokiem tłumy na ulicy. Domyślamy się, że we większości widzimy demony, chimery, diabły dręczące nielicznych już i pogodzonych ze swoją niedolą śmiertelników. Słabe światła oświetlające plan pierwszy pochodzą z wielu źródeł i wystarczają, byśmy ujrzeli wyschnięty, rdzawy strumień, nad nim kamienny mostek i dalej zagadkową wieżę. Słychać gwar i terkot urządzeń budowlanych. Hałas to z pewnością nieludzki. Dźwięki jakie wydają te istoty nie należą do naszego świata. Kiedy dość napatrzymy się temu co się dzieje bliżej, podnosimy wzrok na rozległy, tonący w gęstej ciemności hory-

zont. Teraz dopiero — ogarnia nas dojmujące przerażenie. To tam w mrocznym bezmiarze, rozświetlanym co chwila potężnymi wybuchami pożarów, rozgrywa się główna tragedia. Dymiąca, czarna ruina drugiej wieży zasłania potężny blask krwistoczerwonego rozchodzącego się po niebie. Widać sylwetki demonów i potępionych. Nikle błaski liżą cuchnącą, rdzawą wodę. Dostrzegamy teraz, że część nieszczęśników unosi się w obrzydliwej rzece przepływającej obok wież.

Tragedia największego w dziejach, terrorystycznego ataku oglądana „na żywo” w CNN wyglądała jak na

Wesoło i ciekawie błyskają różnokolorowe ogniki. Co rok filipińscy wyznawcy Chrystusa tak bardzo przeżywają Golgotę, że z własnej woli zawisają na krzyżach, przebici autentycznymi gwoździemi. Facet nakłada sobie plastikową torebkę na głowę i włącza kamerę magnetowidową, a wkrótce jego samobójczą śmierć oglądają widzowie telewizyjni. Ciekawscy widzowie „Big Brothera” z wypiekami na twarzy czekają do późnej nocy na „autentyczne” zachowania swoich idoli. Czy to jest sztuka? Czy tego szukali wynalazcy happeningów, czyli zdarzeń artystycznych lub dziennikarz Emil Zola



wielu perfekcyjnie zrobionych filmach akcji. Usłyszałem wypowiedzi bezpośrednich świadków wydarzeń mieszkańców Nowego Yorku. Początkowo wydawało im się, że obserwują promocję nowego filmu! Istnieją powieści SF, gdzie atak na Amerykę wygląda ludzko podobnie. „to było zupełnie nierealne...” mówi uciekinier z World Trade Center. Więc jak to jest? Co jest snem, co rzeczywistością, co religijnym lub literackim fantazmem, a co materialnym życiem z krwi i kości? Czy to już Apokalipsa Nostradamusa czy po prostu komuś znówu bardzo pomieszała się realność z nierealnością.

Don Kichot atakuje zgrupowanie wrogich wiatraków. On jeden wie, że to banda duchów zła, gnębujących ludzkość i przeszkadzających by świat stał się idealny. Neron, jak każdy muzyk, jest szczególnie wrażliwy na kolory. Kręci z dziecięcą radością małym przezrystym kamykiem. Spogląda przezeń na płonący Rzym.

formulując założenia naturalizmu?

Hieronim Bosch był pierwszym, który tak odważnie zanurzał się w głębiny ludzkiej psychiki. 500 lat temu stworzył drastyczne, szokujące wizje zagłady. Ale na tym kończą się podobieństwa między nim a Bin Ladenem, Neronem, Don Kichotem i twórcami „Big Brothera”. Różnica polega na tym, że jedynie on jest artystą, bo posługując się wyobraźnią zachował dystans, pozwalający myśleć. Jest artystą, bo jego działanie zawiera myśl. Stworzył niebywałe dzieła, pobudzające bliźnich do najważniejszych refleksji. Wciąż czytamy jego humanistyczne przesłanie.

Życie jest snem dowodził Calderon. Miał rację i Shakespeare — tylko po coś pisali by swoje arcydzieła. Chyba nie do końca wierzyli we własne słowa. Wiedzieli, że można też żyć — myśląc. Pomyślimy i my — wychodząc choć na chwilę z wściekłego chaosu do ogrodu sztuki.

Włochy cz. II

Marzenia się spełniają. Jesteśmy w Neapolu. Ulicą Corso Umberto dochodzimy do Piazza Municipio. Na tym placu wznosi się bryła otoczonego fosą Castel Nuovo, zbudowanego w XII w. dla francuskiego władcy Neapolu Charlesa d'Anjou. Natomiast ulica Santa Lucia prowadzi nas do Zamku na Jajku (Castel dell'Oro). Po drodze wchodzimy na Piazza dei Plebiscito otoczonego półkolistą kolumnadą zaprojektowaną przez marszałka napoleońskiego Joachima Murata. Znajduje się tu też Pałac Hiszpański i kościół Św. Franciszka z Padi. Wracając z Placu Plebiscytowego dochodzimy do Galerii Umberto I, powstałego w XIX w. centrum handlowego ze szkła i stali, naprzeciw którego znajduje się świątynia neapolitańskiego bel canta, neoklasycy gmach opery San Carlo z 1737 r. Z Neapolu przenosimy się do Monte Cassino, klasztoru wznoszącego się na wysokości 500 m n.p.m. i położonego u jego stóp wspaniałego cmentarza polskich żołnierzy poległych w walce na wgórzu. Na cmentarz prowadzi aleja wysadzana tujami. Na płycie cmentarza składamy wiązanek mieczyków. Pełno tu świeżych kwiatów z biało-czerwonymi wstążeczkami. W ciszy i zadumie przechodzimy pomiędzy mogiłami żołnierzy polskich wyznania mojżeszowego, prawosławnego przede wszystkim katolickiego. Jest z nimi ich drogi generał Władysław Anders. Ten polski akcent przewija się także w kolejnym punkcie naszej podróży — Watykanie z Polakiem Papieżem jako głową państwa i Kościoła Rzymsko-Katolickiego. Podczas naszej obecności Ojciec Święty odpoczywał w Castel Gandolfo. My natomiast rozpoczęliśmy zwiedzanie od Muzeum Pałacu Watykańskiego. Jest ich w sumie 8, ponadto 5 galerii, Biblioteka Papieska, Apartamenty Borgiów, Sala Rafaela i Kaplica Sykstyńska. W Muzeum Pio Clementian — sztuka antyczna w tym „Grupa Laokoona z Rodos”, a później 4 sale Rafaela tzw. Stanze z mistrzowskimi freskami: „Dysputa o Św. Sakramencie” i „Szkoła Ateńska”. W kaplicy Mikołaja V natomiast znajdują się subtelne freski pędzla Fra Angelica. W apartamentach Borgiów odnajdujemy brązy Rodina, ceramikę Picassa, szkice Madonny wykonane ręką Mattise'a. Jednak dopiero Kaplica Sykstyńska (Capella Sistina) wyko-

nana w XV w. daje pełny obraz bogactwa. Są tam freski Michała Anioła „Sąd Ostateczny” oraz inne naścienne freski Botticelli, Glurlandaio i Signorellego. Tu odbywają się konklawe - wybory nowego papieża. Malowidła w kaplicy przedstawiają historię człowieka od Adama do Noego, okres od Narodzin Chrystusa do Sądu Ostatecznego. Zwiedzaliśmy też salę gobelinów, map, salę Sobieskiego z obrazem Matejki „Odsiecz Wiedeńska”. Następnym etapem zwiedzania Watykanu była Bazylika Św. Piotra - największe ze wszystkich kościołów katolickich. Pracowali tu m.in. Bramante, Rafael, Michał Anioł i Carlo Moderna. Stworzona na planie krzyża łacińskiego z kopułą Michała Anioła. Wewnątrz na posadzce ornament Kluczy Piotrowych. Do Bazyliki wchodzimy przez „Drzwi Święte” otwarte w roku jubileuszowym. Na prawo Pieta, najcenniejsze dzieło Michała Anioła (Matka Boska z martwym Jezusem na kolanach). Pod kopułą stoi ogromny baldachim wykonany przez Berniniego z brązu. Usytuowany on jest nad grobem Św. Piotra i osłania główny ołtarz, przy którym odprawianie mszy jest wyłącznie przywilejem papieża. Stojący obok tron Św. Piotra, dzieło Berniniego zwieńczone aureolą z wizerunkiem Św. Ducha. Później w podziemiach zwiedzaliśmy grób Św. Piotra, groby papieży i kaplice, w tym polską. Po wyjściu z Bazyliki na Placu Św. Piotra — także dzieło Berniniego, jedna z najwspanialszych na świecie kompozycji architektonicznych. Dwa pełne rozmachu łuki kolumnad zawierają 284 trawertynowe kolumny oraz 140 posągów i 88 pilastrów. Na środku placu dwie fontanny i egipski obelisk. To wszystko nadaje Placowi Św. Piotra wrażenie nie do opisania. Jeszcze spojrzenie na okno, z którego błogosławi papież oraz na miejsce, gdzie został postrzelony (czerwona kostka granitowa). Szeroką aleją z Watykanu dochodzimy do Zamku Św. Anioła ze 139 r. stanowiącego mauzoleum cesarza Hadriana, obok most Św. Anioła nad Tybrem z postaciami 10 aniołów dłuta mistrza Berniniego. Później spacer na Piazza del Popolo z pałacem z 1816 r., tam też bryła kościoła Santa Maria del Popolo. Na środku placu egipski obelisk i dwa bliźnięce barokowe kościoły Santa Maria dei Miracoli i Santa

Maria in Montesanto. Dochodzimy do słynnych Schodów Hiszpańskich — miejsca spotkań młodych ludzi z gitarą, zakochanych par i sprzedawców kwiatów i błyskotek. Nad schodami góruje XVI w. kościół franciszkański Trinita dei Monti, a u podnóża schodów XVII w. marmurowa fontanna w kształcie łodzi, dzieło ojca Berniniego. Stąd już tylko krok do Fontanny di Trevi, znanej m.in. z filmu „La Dolce Vita”. Fontanna to XVIII w. dzieło Salviogo — łuk triumfalny i fasada pałacowa na tle grupy mitycznych stworów w orgii skał i sadzawek z 2 posągami koni. Następnie udajemy się do Pałacu Kwirynalskiego — siedziby prezydenta republiki z pięknym portykiem, a później na Piazza Venezia z pomnikiem Wiktora Emanuela z XIX w., tuż obok Palazzo Venezia z XV w. z epoki Renesansu. Miał tu swe biura Mussolini i z balkonu wygłaszał mowy do swych zwolenników. Zwiedzamy też na Piazza della Rotonda Panteon. Jest to najlepiej zachowany pomnik sztuki starożytnego Rzymu. Stworzył go cesarz Hadrian ok. 120 r. Mieszczą się w nim grobowce Rafaela, Peruziego oraz królów Wiktora Emanuela II i Umberta I. Nie sposób było pominąć podczas naszej wędrowki po barokowym Rzymie Piazza Navona — najpogodniejszego ze wszystkich placów rzymskich. Tu znajduje się Fontanna Czterech Rzek — Berniniego.

Następny dzień poświęcamy na zwiedzanie Rzymu klasycznego i to od wzgórza Awentynu z Bazyliką Św. Anzelmia i siedzibą Zakonu Kawalerów Maltańskich, a także Bazyliką Św. Aleksego i kościołem Św. Sabiny. Następnie udaliśmy się na wzgórze Palatynu z romantycznymi ogrodami z XV w., gdzie przewrócone kolumny oplatające są krzewami akantu. Rozciąga się tu wspaniały widok na Koloseum i



San Marino — pałac rządowy



Rzym — koloseum



Rzym — koloseum

Circus Maximus. Po zejściu z Palatynu wchodzimy do Bazyliki Di Santa Maria in Cosmedin ze słynnymi „Ustami Prawdy” znajdującymi się w portyku. Tuż obok Świątynia Kapłanki Westy. Dalej droga prowadzi na Kapitol, po drodze mijamy Teatr Marcellusa i Bazylikę Św. Dominika i Kosmy. Dochodzimy do Kapitolu schodami będącymi dziełem Michała Anioła. Na środku pomnik Marka Aureliusza oraz pałace — Pałac Nowy, Konserwatorów z galerią malarstwa i Pałac Senatorów mieszczący Radę Miejską. Napięcie wzrasta, gdy zbliżamy się do Forum Romanum. Prace wykopaliskowe rozpoczęto w XIX w. Świetnie zachowane są łuki: Septymiusza Sewera oraz Tytusa, upamiętniający spłądowanie Jerozolimy. Są też fragmenty świątyń: Saturna, Wespazjana, Romulusa i Augusta. Jest też Rostra — mównica, z której Marek Aureliusz powiadomił lud o zamordowaniu Cezara. Jednak sercem klasycznego Rzymu jest Koloseum — krwawy cyrk gladiatorów. Olbrzymia czterokondygnacyjna budowla o eliptycznym kształcie, wzniesiona rękoma 20 tys. niewolników i więźniów ok. 80 r. n.e. Amfiteatr mógł pomieścić 50000 widzów. Przy wejściu do Koloseum stoi Łuk Konstantyna z IV w. wzniesiony na pamiątkę nawrócenia cesarza na wiarę chrześcijańską. Koloseum zamyka rzymski etap podróży.

Udajemy się do Asyżu. To zbudowane na wzgórzu miasto wygląda jakby wyjęte je ze średniowiecznego sztychu. Jeszcze widać prace renowacyjne po trzęsieniu ziemi. Bazylika Św. Klary tonie w rusztowaniach. Tu przechowywane jest ciało świętej założycielki zakonu Kларыsek. Nieco wyżej położona jest Bazylika San Rufino z 1134 r., gdzie był ochrzczony Św. Franciszek. Na Piazza Comune zwiedzamy

kościół Santa Maria sopra Minerva z kolumnami korynckimi i dochodzimy do samej Bazyliki Św. Franciszka, która składa się z 2 kościołów - dolny kościół z 1228 r. w romańskim stylu, przechowywany tam jest sarkofag z prochami świętego. Natomiast kościół górny to gotyckie wnętrze, wysokie, pełne światła. Tu można znaleźć 28 malowideł słynnego cyklu Giotto, dotyczących życia Św. Franciszka.

Odwiedzamy też enklawę na terenie Włoch — najstarszą republikę świata — San Marino, położoną na górze Monte Titano (750 m n.p.m.). Przez bramę Św. Franciszka, która opasuje mury obronne wchodzimy do najstarszej części republiki. Zwiedzamy neoklasyzystyczną Bazylikę San Marino z XIX w. z relikwiami Św. Marino, Palazzo Valloni, Pałac Rządowy i Republikańską Statuę Wolności.

W drodze powrotnej wypad do Rimini i kąpiel w Adriatyku. Chwila odprężenia w Viserbie, miasteczku opodal Rimini. Jest tu rodzaj małego muzeum „Italia w miniaturze”. Pokazano tu w pięknie zrobionych makietach najważniejsze zabytki każdego włoskiego miasta oraz najciekawsze obiekty ze stolic europejskich.

Ostatnim etapem podróży jest Ravenna słynąca z pięknych doskonale zachowanych mozaik dekoru-



Rzym — fontanna Di Trevi



Asyż — bazylika św. Franciszka



Monte Cassino — klasztor



Rzym — Forum Romanum — Świątynia Saturna

jących jej kościoły. Tu w niewielkim budynku z 1780 r. obok kościoła Św. Franciszka znajduje się grobowiec Dantego. Natomiast najstarszym z bizantyjskich pomników z V w. jest Mauzoleum Galli Placidii. Niewielka kaplica z trzema sarkofagami, ze szczątkami Galli — siostry Cesarza. Wnętrze zdobią mozaiki w kolorach ciemnego błękitu, złota i szkarłatu. Opodal wznosi się kościół San Vitale z 547 r. Tu znajdują się słynne mozaiki ze scenami ze Starego Testamentu ożywające w porannym słońcu, Baptysterium z V w. udekorowane jest piękną mozaiką przedstawiającą 12 Apostołów.

Dobiegła końca przygoda ze słoneczną Italią. Został pewien niedosyt, że tyle cudownych miejsc zostało pominiętych, ale nie sposób ogarnąć wszystkie włoskie zabytki. Sądzę, że nawet Włochom nie udaje się zobaczyć wszystkiego. Ale magia Włoch działa, oplata każdego turystę swym pięknem przyrody, bogactwem zabytków, wspaniałymi górskimi tunelami i autostradami. Język włoski jest śpiewny, a ludzie mili i wyrozumiali. Czuje się, że lubią Polskę i Polaków.

Życzę państwu i sobie spotkania na nowych, jeszcze niepoznanych szlakach wędrówki po Włoszech.

Zbigniew HOPPE

KLEJNOTY

Najodpowiedniejszym podarunkiem dla kobiety byłaby kolia lub brosza brylantowa albo inny klejnot. Niestety, nie mając kontaktów z Ali Babą i jego Sezamem, mogę ofiarować Paniom jedynie opowiadanie o nich. Nie taję, że w dużej mierze jest to streszczenie a nawet tłumaczenie wybranych fragmentów książeczki reklamującej czeską wytwórnictwo sztucznej biżuterii Jablonex (Vítězslava Libalová, Zákraky bižuterie, Praha 1961).

Najpierw o ozdobach w ogóle, gdyż chęć ozdabiania się jest cechą całej przyrody, nie tylko człowieka. Wystarczy spojrzeć jak pyszni się paw, jak barwne są samczyki batalionów! Ludzie nie wylamali się spod tego prawa, tylko od całkiem niedawna mężczyźni ustąpili w tej dziedzinie pola paniom, choć też nie do końca.

Ozdoby miały znaczenie przede wszystkim magiczne, odstraszały wrogów, wabiły dziewczęta. Sąsiad z jaskini, z kostką w nosie, pękiem jagód za uszami, bliznami na ciele, wydawał się tak piękny i porywający jak później młodzian z wywoskowanym wąsem albo ułan z epoletami... Bo człowiek lubi się podobać! Kiedy zabrakło wrogów, blizny zadawali pobratymcy — stąd też wywodzi się tatuaż, przeżywający dzisiaj niespodziewany renesans. Jakoś jednak rozkwaszony nos boksera nie wzbudza zachwytu...

Poza tatuażem od niepamiętnych czasów malowano ciało. Najpierw były to barwy bojowe, odstraszające wrogów - taką rolę pełnią do dziś wśród Indian znad Amazonki i u gwinejskich łowców głów. Jednak dawny straszak pełni w naszych czasach funkcję ozdobną, wabiącą - makijaż, czerwone usta, podczernione brwi i rzęsy są tego dowodem. Przy tym można mieć inny wygląd na wycieczkę, inny do teatru, jeszcze inny na spotkanie we dwoje. Mało tego, najnowsza moda każe nalepiać brokat nie tylko na powieki, malować kwiaty na kolanach i gdzie popadnie, nawet naszyjnik bezpośrednio na ciele...

Tatuażować i malować się mógł każdy, kto na to zasłużył, ale człowiek, chcąc być podobny do innych, pragnie jednak się czymś różnić. Na wspaniały pomysł wpadł myśliwy, kiedy wciągnął ubitego zwierza do jaskini, zjadł co jadalne, a z kłów zrobił sobie naszyjnik. Za jednym zamachem upiększył się i dał wszystkim poznać, jaką to bestię ubił. Ale kiedy inni łowcy zaczęli go naśladować,

a gruba zwierzyna uciekła w niedostępne chaszczę, ludzie wzięli się za inne ozdoby, łatwiejsze do pozyskania, jak czaszki i skalpy wrogów, muszle, żdźbła traw i co tylko uznano za piękne. Dziewczęta też nie ograniczały się do wianuszków z kwiatów — kostki w nosach i uszach współczesnych Murzynek i Pigmejek mówią o tym wyraźnie.

Ozdoba oznaczała godność i moc, najcenniejszą nosił naczelnik, wódz. I ten zwyczaj dotrwał do naszych czasów - królowie noszą korony, Indianie — pióropusze wodzowskie, generałowie — medale i order, rektorzy — gronostaje i łańcuchy.

Dopóki mamy do czynienia z przedmiotami naturalnymi, z grubsza przystosowanymi do noszenia, nieuszlachetnionymi — są to tylko ozdoby. Historia klejnotów zaczęła się z chwilą, kiedy człowiek własnymi rękami nadał różnym materiałom kształty wymyślone przez siebie.

Klejnotem można więc nazwać rzecz nie całkiem przydatną, bez której można się obejść, która jednak zaspokaja ludzkie dążenia do piękna.

Początkowo były to wytwory z kości, zębów, drewna, gliny, kory, muszli, bezbarwnych kamyków. Obok sztuki „wielkiej” — magicznej, powstaje sztuka „mała” — rzemiosło artystyczne. Powstają bransolety, naszyjniki, zausznicze z wyobrażeniem kwiatów i zwierząt, rzadko człowieka, artyści ulegają urokowi ornamentu geometrycznego.

Po odkryciu metali rzemiosło artystyczne wykorzystuje ten materiał, dający się dowolnie kształtować za pomocą różnych technik. Ludzie zdążyli się już różnicować społecznie i majątkowo, dlatego wspaniałe naszyjniki, bransolety, pierścienie stają się przywilejem bogaczy.

Fenicki wynalazek pieniądza sprzyja handlowi i dalekim wyprawom kupców, nawet po jantar, „złoto północy”. Nie było wtedy granic celnych, jednak kupcy narażali się na spotkania z rozbójnikami - łupiestwo jest bowiem najefektywniejszym rzemiosłem, czego dowodzą zarówno średniowieczni rycerze-rozbójnicy, jak i współczesne urzędy skarbowe...

Początek jubilerstwu, złotnictwu, rzemiosłu artystycznemu dała Mezopotamia i Egipt, stąd rozeszło się ono po

całym świecie. Egipcjy „artyści od klejnotów” mieli swój złoty wiek dwa tysiące lat p.n.e., po czym upadło. Natomiast w Indiach, Chinach i Japonii tradycja się nie załamała, tam zresztą klejnoty trafiły do ludu. Szczególną uwagę poświęcono zdobieniu główek kobiecych — w Chinach był to jeden wielki klejnot podobny do ptaka, wyrabiany z jedwabiu, złota, pereł i piór ptasich. Indie pokrywały klejnotami nie tylko głowy, lecz także ramiona i wierzchy dłoni.

W kulturze antycznej, z której wywodzi się nasza cywilizacja, klejnoty miały za zadanie podkreślanie piękna ludzkiego ciała, nie było mowy o przykryciu głowy, ręki czy piersi złotem czy inną ozdobą. Ulubionymi klejnotami były naszyjniki, bransolety, wisiorki, diademy, kolczyki, kamee, pierścienie. Wykwintny ornament był tylko uzupełnieniem kształtu klejnotu.

Po zdobyciu Grecji Rzymianie przejęli ich zamiłowanie do klejnotów, ale bez greckiego połotu. Delikatność zastąpili masowością, jakością — ilością, aż trzeba było wydawać dekryty ograniczające możność ozdabiania się. W Rzymie klejnoty zyskały nową funkcję — nie były już tylko ozdobą, ale oznaczały rangę właściciela. Patrycjuszowie nosili złote bransolety, wojskowi — złote łańcuchy i medale. Rzymianki upinały włosy szpilami z ampułkami zawierającymi pachnidła: miały one tę zaletę, że niezadowolona z fryzury dama wyjmowała szpilę i kłula nią niewolnicę-fryzjerkę...

Najulubieńszym klejnotem był pierścień. Początkowo wolno było go nosić jedynie patrycjuszom, pod koniec imperium nawet chłopcom, lecz tylko żelazne. To Rzymianom zawdzięczamy obrączki ślubne! Również w Rzymie pojawili się pierwsi kolekcjonerzy arcydzieł złotniczych, a ich miłość do kamieni szlachetnych i klejnotów była ogromna. Neron nie tylko patrzył na pożar Rzymu przez wielki szmaragd (płomienie wyglądają jak czarne języki), lecz także kazał wysypać swoje łóżko najdroższymi perłami, co dowodzi, że nie był tak wrażliwy jak królowna na ziarnku grochu.

Od czasów rzymskich pokutuje wiara w magiczną moc kamieni szlachetnych i półszlachetnych — mogą przynosić szczęście i nieszczęście, zdrowie i chorobę, powodzenie i pecha. Różne poradniki astrologiczne zawierają pozycję: „twój szczęśliwy kamień”, a Bożena i Róża Krzywobłockie napisały o tym książkę (Magia klejnotów, LSW Warszawa 1976).

Po upadku cesarstwa rzymskiego przyszła chrześcijańska pogarda dla ozdób, marności nad marnością-

mi. Nie na długo, „grzeszne pokusy” były zbyt silne. Klejnoty noszono bez ostentacji, jako oznakę godności i stanowiska, klejnoty chowano w skarbczykach.

Jednak wzrost znaczenia i bogactwa Kościoła musiał się uzewnętrznić — najpiękniejsze i najdroższe klejnoty i dzieła sztuki ozdabiały kościoły, kryły się w skarbach klasztorów. W muzeach świeckich i kościelnych można oglądać wspaniałe monstrancje wysadżane brylantami, szmaragdami, ametystami, rubinami i innymi kamieniami szlachetnymi i półszlachetnymi, złote kieli chy i pateny, ornaty ze złotogłowiu.

Na pewien czas pierwsze miejsce w określeniu pozycji społecznej zajęło złoto — łańcuchy, bransolety, ozdoby szat. Wroby sztuki wczesnochrześcijańskiej są proste, prymitywne, z ornamentem geometrycznym, zapomniano o tradycji antyku...

W okresie romańskim powróciło zainteresowanie kamieniami szlachetnymi. W monstrancjach i relikwiarzach pojawiają się szmaragdy, rubiny, chalcedony, topazy, jaspisy, beryle, ale gotyk preferuje znowu złoto i srebro. Dopiero w okresie renesansu i baroku, szczególnie po odkryciu Ameryki, kamienie szlachetne znowu są górami. Zdobycy rzucali się na pereł, diamenty, przede wszystkim na złoto Inków, Azteków i Mayów. Złupiono podbite kraje, zniszczono kulturę i sztukę tubylczą, złoto przetapiano na sztaby. Barok zapomniał o skromności średniowiecznych chrześcijan, zbytek i przepych dorównują starożytnemu Rzymowi. Czterokrotny wzrost zasobów złota wskutek eksploatacji Nowego Świata był jednak za mały na pokrycie potrzeb.

Artyści — rzemieślnicy opanowali już sztukę kamieni, wydobywając z nich piękno, jakiego nie miały w stanie naturalnym. W 1456 r. jubiler Berquem z Flandrii odkrył, że diamenty dają się szlifować... proszkiem diamentowym, i tak powstały pierwsze brylanty. Prawdziwe brylanty stanowiły odtąd centralny motyw każdego klejnotu barokowego, a złoto i srebro miały jedynie uwykuć jego czar i piękno. Te maleńkie arcydzieła warte były często całego majątku, dziewczęcy naszyjnik miał wartość pałacu, a kolia opłacała śmierć pułku żołnierzy. Stąd też wywodzą się opowieści i kłótnie, związanych z wyjątkowymi brylantami i klejnotami, gdyż chciwość ludzka nie zna granic i nie cofa się nawet przed zbrodnią.

Trzeba było coś zrobić, żeby piękne klejnoty były dostępne nie tylko dla bogatej arystokracji, kupców i bankierów. I znalazło się wyjście: może nie było to do-

kładnie tak jak powiem, ale mogło być i tak:

Królowa francuska wydała bal — nie nadzwyczajnego, zaledwie dla pięciuset najbliższych znajomych, ale dla ubogiej szlachcianki, która znalazła się na liście gości, była to ostatnia szansa na złapanie męża, przynajmniej markiza lub barona. Panienka była mądra, więc wiedziała, że i Kopciuskowi nie udałaby się taka sztuka bez bogatej oprawy, w jaką wyposażyla ją dobra wróżka. Wróżki nie było pod ręką, za to był znajomy jubiler, który zgodził się wypożyczyć na krótko, za odpowiednie wynagrodzenie, przepiękny diadem i naszyjnik szmaragdowy. Złotnik spał spokojnie, bo szmaragdy nie były prawdziwe, lecz ze szkła kryształowego, ale o tym nikt poza nim jeszcze nie wiedział. No i szlachcianka zdobyła barona, królowa zrobiła piekło królowi, gdyż przyszło jej do głowy pokazać się na balu w szmaragdach, które ani się umywały do klejnotów szarej szlachcianki...

Jak było tak było, jednak jest faktem, że pod koniec XVII wieku paryski złotnik Strass rozpoczął całkiem oficjalną produkcję tanich klejnotów z imitacjami kamieni szlachetnych. Oczywiście dawniej zdarzały się fałszerstwa nie tylko brylantów, ale od teraz pojawiły się klejnoty „na każdą kieszeń” (no bez przesady). Klejnoty zeszły więc z piedestału, stały się dobrem dostępniejszym. Tańsze materiały spowodowały jednak spadek jakości, mniej

szą dbałość artystów o wykończenie dzieła, ale z drugiej strony rozwinęły ich pomysłowość, nie ograniczoną troską o możliwe uszkodzenie cennego materiału. Potem

wytwarzanie klejnotów przeszło z pracowni artystów do manufaktur i fabryk, nastąpił nowy „złoty wiek”, powstała biżuteria.

Francuskie słowo bijou znaczy klejnot, ale przyjęło się na określenie tańszych wyrobów jubilerskich, na które nie trzeba wydawać całego majątku. Wciąż jednak wymaga złota i srebra, doskonałych imitacji kamieni szlachetnych (i półszlachetnych); wyroby jarmarczne i fabryczne typu Jablonexu są najwyżej sztuczną biżuterią.

Dawniej klejnoty były na całe życie, przechodziły z pokolenia na pokolenie, teraz biżuteria zależy od zmiennej mody. Trzeba pamiętać, że inną nosi się w biurze (prawie wcale!), inną wkłada na wizytę, inną na bal. Nowoczesna biżuteria ze złota

i srebra, bursztynu, kamieni szlachetnych i półszlachetnych bywa piękna, co można sprawdzić nie tylko w muzeach, lecz także na wystawach sklepów jubilerskich.

[Przy okazji polecam książkę H. de Moranta Historia sztuki zdobniczej (Arkady, Warszawa 1981) z dodatkowym rozdziałem poświęconym rzemiosłu i przemysłowi w Polsce.]

Krzysztof GUTORSKI

Foto: archiwum



Kielich późnogotycki z I połowy XVI w. z kościoła parafialnego w Śremie

HIPOLIT CEGIELSKI I MARCELI MOTTY

Sylwetki przyjaciół (cz. I)

Hipolit Cegielski i Marceli Motty... Dwie postacie, które odegrały znaczącą rolę w dziejach Poznania i regionu, ale poza Wielkopolską mało znane. Więcej można usłyszeć na temat firmy metalurgicznej założonej przez Cegielskiego niż na temat jego zasług filologicznych. A przecież był to jeden z czołowych badaczy dziejów literatury polskiej i naszego języka w dziewiętnastym stuleciu. Marceli Motty był już bardziej hermetyczny regionalnie: podobnie jak Ambroży Grabowski w Krakowie, pełnił funkcję zaangażowanego kronikarza rodzinnego miasta — odczytanego rzadko przez osobę spoza Poznania. A jednak, mimo że obydwa byli (są) bohaterami regionalnymi, bez analizy ich sylwetek nie byłoby pełnej wiedzy o Poznaniu czasu zaborów, w Poznaniu zostawili swe dzieła i swoje serca. Bez spojrzenia na zachowanie i mentalność Cegielskiego, bez lektury „Przechadzek po mieście” i „Listów Wojtusia z Zawad” Mottego nie zrozumiemy specyfiki dziewiętnastowiecznej Wielkopolski. Łączne zestawianie ich postaci ma wielorakie uzasadnienie: obydwa byli ludźmi pióra, żyli w tej samej epoce, podobnie rozumowali i mimo różnic charakterów, stawiali przed sobą podobne zadania. No i co szczególnie istotne w realiach rodzinnych sprzed półtora wieku — byli również szwagrami, a to wtedy łączyło i zobowiązywało.

O charakterze wzajemnych stosunków między Hipolitem Cegielskim i Marcelim Mottym dowiadujemy się przede wszystkim z obszernej wypowiedzi drugiego z przyjaciół, zawartej na kartach „Przechadzek po mieście”, spisanych u schyłku życia autora, w dwadzieścia lat po śmierci pana Hipolita. Cegielski był znacznie mniej wylewny, bardziej rzeczowy i najpełniej wypowiadał się na kartach korespondencji — niestety, duża część rodzinnego archiwum Cegielskich — Mottych uległa zagładzie w latach ostatniej wojny. Osoby, które znały obydwu panów, podkreślają ich przyjaźń i zgodne współdziałanie, choć raczej nie była to więź nierozzerwalna i wieczna. Jak więc było naprawdę? Spójrzmy na te sprawy okiem historyka.

Wywodzili się z różnych środowisk. Hipolit Cegielski był synem bardzo już zubożałej, rdzennie polskiej rodziny ziemiańskiej, urodził się w 1813 roku w Ławkach koło Trzemeszna. Na jego lata dziecięce przypadł okres „łabędziego śpiewu” rolniczych tradycji rodziny. Ojciec nie potrafił kontynuować dzieła poprzedników, gospodarować nie umiał, w rezultacie zaszła potrzeba przekwalifikowania, szukania innych źródeł dochodu. Jedynym rozwiązaniem było zdobycie wykształcenia i osiedlenie się w mieście. Hipolit Cegielski był zatem przedstawicielem pierwszego pokolenia ziemian, którzy ze szlachty stali się mieszczanami. Od wczesnej młodości zdany głównie na siebie, dopiero musiał zdobywać sobie pozycję i miejsce w życiu; wszystko co osiągnął, zdobył dzięki wielkiemu samozaparcu — ale też szczęściu do ludzi życzliwych, którzy nie zostawili go samemu sobie.

Inaczej wyglądał życiowy start Marceliego Mottego. Wywodził się ze spolonizowanej rodziny francuskiej, od końca XVIII wieku osiadłej w Poznaniu. Konkretnie: ojciec był Francuzem, matka zaś, Apolonia z Herwigów Motty, w połowie polskiego, w połowie niemieckiego pochodzenia. Ich dzieci były już w pełni świadomymi Polakami. Wyraźnie pojawia się tu skojarzenie z osobą Fryderyka Chopina — syna Francuza i Polki czy Jana Matejki, gdzie ojciec był Czechem, zaś matka pół-Polką, pół-Niemką. Z takich rodzinnych, narodowych amalgamatów często powstawał rdzenny, patriotyczny stop polskiej świadomości narodowej, w dodatku obdarzony nieprzeciętnymi talentami. Wracając do Marceliego Mottego trzeba podkreślić, że był młodym człowiekiem, wychowanym w pełnej rodzinie, w której spokojny byt zapewniony był przez pracę i pozycję ojca, Jana Mottego — szanowanego nauczyciela przyrody w poznańskim gimnazjum św. Marii Magdaleny. Była to rodzina już na wskroś mieszczańska, ustabilizowana, w której potrzeba było wyjątkowego wstrząsu lub nieszczęścia, by mogły nastąpić radykalne zmiany. Żył się tam bez ekstrawagancji, spokojnie.

Tak więc obydwa nasi bohaterowie reprezentowali zubożałą szlachtę i mieszczaństwo — w sumie byli przedstawicielami dwóch warstw społecznych stanowiących trzon tworzącej się właśnie inteligencji. Z czasem familia Mottych poprzez koligacje weszła w związki z innymi rodami ziemiańskimi — m.in. Bojanowskimi. To również była regionalna prawidłowość, porównywalna choćby z losami początkowo wiejskiej (Bambrzy), potem mieszczańskiej — a następnie wiążącej się z ziemianami rodziny Leitgebrów. Zatem więź Cegielskiego z Mottym była wyrazem stopniowego odchodzenia od dawnych uprzedzeń i hermetyczności środowiskowej, świadectwem nowych czasów.

Kiedy i w jakich okolicznościach się poznali? Ze wspomnień Marcelego Mottego wiemy, że było to „po świętym Michale”, czyli wkrótce po 29 września 1830 roku, w poznańskim gimnazjum św. Marii Magdaleny; Cegielski miał wtedy 17 lat, Motty był o pięć lat młodszy. W tym wieku to duża różnica, trwalsze więzi między uczniami jednej szkoły, lecz o takiej różnicy rozwoju fizycznego i psychicznego zdarzają się rzadko. Tutaj zaś doszły i kontrasty powierzchowności. Cegielski tak był wtedy odebrany przez Mottego:

„Dostałem się wtenczas do tercji i gdy w farnym kościele po skończonej mszy inauguracyjnej przechodzili koło nas parami kwartanery, spostrzegłem tam niemało nie znanych mi figur, a między nimi dość już wyrosłego, chudego blondynka ze szczupłą, rumienną twarzą i wyrazistymi, niebieskimi oczyma, mającego jasną chustkę na szyi i wysokie kołnierzyki. Dowiedziałem się potem, że to Hipolit Cegielski, jeden z nowoprzybyłych trzemeszniaków, że jest już korepetytorem i w klasie wszystkich zakasował. Dogonił on mnie w tercji, gdzie ocieraliśmy się cały rok o siebie, nie zbliżając się wcale, bo Cegielski wiekiem

o trzy lata (w rzeczywistości o pięć — M.R.), usposobieniem zaś wtenczas o wiele starszy ode mnie, nie odpowiadał mojej dziecinnej jeszcze fantazji; prześcignął mnie potem w sekundzie, gdzie wtedy, jak i w tercji, kurs był jednoroczny, i dopiero w prymie, siedząc z sobą na jednej ławce, ponieważ i ja, szczerze mówiąc, dojrzalszym i stateczniejszym się stałem, poznaliśmy się z sobą i przez ciągłe przedstawianie i wspólną często pracę poza szkołą weszliśmy już wtenczas w ścisły ten związek, który dopiero śmierć jego zerwała”.

Były to więc okoliczności w obecnym systemie szkolnym niemożliwe do zaistnienia. W dodatku Marceli Motty był także pod względem powierzchowności przeciwieństwem swego kolegi: drobny i niewysoki, żwawy brunecik - z czasem, w miarę upływu lat nieco wyłysiał i nabrał zwracających uwagę, nienagannyh manier i galanterii. Jednak wówczas, w latach szkolnych, często był tonowany przez z natury statecznego i zrównoważonego Cegielskiego. Jak zwykle wtedy

bywa, koledzy zaczęli się odwiedzać wzajemnie: na stacji u Hipolita lub w domu Marcelego. Konkretnie w przypadku Cegielskiego było to mieszkanie poznańskie należące do rodziny Jana Suchozrzewskiego, ziemianina z Tarnowa koło Kostrzyna Wlkp., którego synom Hipolit udzielał korepetycji i z którymi mieszkał. Różnice w statusie były dość wyraźne: Cegielski utrzymywał się ze wspomnianych korepetycji, zaś dach nad głową miał zapewniony dzięki życzliwości państwa Suchozrzewskich, którym stateczny gimnazjalista bardzo przypadł do gustu. Motty takich problemów nie miał, żył podobnie jak dzisiejsi uczniowie, przy rodzicach, bez trosk o środki do życia — nauka była jego głównym obowiązkiem. Nowy kolega syna bardzo się starszym państwem Mottym spodobał, a z czasem zaczął być traktowany jak jeszcze jedno ich dziecko — i podob-



nym uczuciem Cegielski im się odwzajemnił. Rodzinę miał rozproszoną, kontakt z najbliższymi bardzo luźny, tęsknił więc za normalnym domem, który znalazł w rodzinie państwa Jana i Apolonii Mottych; Marceli stał się niemal jego bratem. Zauważono zresztą, że Hipolit zaczął wywierać korzystny wpływ na Marcelego i chłopcy rozumieli się coraz lepiej. Obydwaj mieli zresztą podobne, filologiczne zainteresowania, z tym, że Cegielski miał umysł bardziej naukowy, analityczny, zaś Motty był więcej praktykiem.

Jesienią 1835 roku Hipolit Cegielski rozpoczął studia filologiczne na uniwersytecie berlińskim; Marceli dołączył do niego w semestrze zimowym 1836/1837. Zamieszkali przy Französischestrasse 68, płacili miesięcznie 7 talarów czynszu i 10 talarów za opał, co na owe czasy było ceną średnią, lecz dla obydwu studentów oznaczało konieczność rozsądnego gospodarowania posiadanym groszem. O finansowych ekstrawagancjach nie było mowy, więc życie jakie prowadzili było dość skromne i mało urozmaicone; zdarzało się nawet, że posażano ich o izolowanie się od kolegów. W odróżnieniu choćby od Karola Marcinkowskiego, który poza tym, że sumiennie studiował, czynnie uczestniczył w pełni studenckiego życia (nie wyłączając burszowskich pojedynków), Cegielski i Motty wiodli życie dość skromne. Bywali jedynie przy Unter den Linden, w salonie pani Ciecierskiej, gdzie skupiała się niemal cała studująca w Berlinie polska młodzież — niezależnie od stanu i zaboru. Spotkania te, choć po kilku latach się zakończyły, gdyż państwo Ciecierscy wrócili do kraju, odegrały ogromną rolę w integrowaniu polskich środowisk akademickich stolicy Prus. Obiektywnie trzeba jednak przyznać, że obydwaj przyjaciele traktowali swych kolegów z niejakim dystansem, a i bywało, że w listach do rodziny dość złośliwie sobie używali na ich poziomie intelektualnym. Wątpliwe, by tego w otoczeniu nie zauważono, choć nie ma również dowodów na to, że doszło z ich strony do rewanzu. W gruncie rzeczy chyba obydwaj swoje studia potraktowali bardzo serio i po prostu żał im było czasu i pieniędzy na zajmowanie się sprawami, które ich nie interesowały.

A poza tym życie toczyło się własnym nurtem - od wykładu do wykładu, od jednej pracy semestralnej do drugiej, wreszcie: od jednej wypłaty stypendium, do drugiej; wielkim świętem były przesyłki z prowiantem, przysyłane z Poznania przez zapobiegliwą panią Apolonię Mottową. W 1837 roku przyjaciele wynajęli nowe mieszkanie w Berlinie, przy Jägerstrasse 65; mieszkali tam już we trzech, z Maksymilianem Kolanowskim.

Z owych studenckich czasów zachował się wielce interesujący akcent więzi Hipolita Cegielskiego z rodziną Mottych: serdeczna a kształcząca korespondencja przyszłego filologa i przemysłowca z profesorem Janem Mottym. Cegielski wyrażał w niej bardzo szczere, pełne młodzieńczych ideałów i wynurzeń opinie - czasem górnolotne, niekiedy pesymistyczne. Przy okazji szlifował swój francuski, gdyż niektóre listy celowo były wymieniane w tym języku. Zaczęto profesora Cegielski traktował niemal jak swego ojca i jak syn był traktowany — miał więc już drugą, obok Suchorzewskich rodzinę. Poniekąd zastępczą, lecz najważniejsze, że nie był sam. Zresztą z Suchorzewskimi kontaktu nie zerwał, stosunki się nie rozluźniły - tak, że gdy jesienią 1837 roku ciężko zachorował, kurował się właśnie w Tarnowie. Swoiste „rozdwojenie” wynikało z poczucia honoru i ambicji Cegielskiego, który wprawdzie wakacje i ferie spędzał w domu państwa Mottych, jednak nie chciał być im ciężarem i nadużywać gościnności — a z drugiej strony nie zamierzał okazywać małoduszności wobec bardzo życzliwych mu ziemian spod Kostrzyna. W czasie leczenia a potem rekonwalescencji, był tam odwiedzany przez Mottych; raz nawet popatygowała się do Tarnowa pani Tekla Herwigowa, babka Marcelego.

Od stycznia 1838 roku Cegielski powoli wracał do zdrowia już w Poznaniu, w domu państwa Mottych, a w kwietniu wrócił do Berlina — zamieszkał, jak zwykle wspólnie z Marcelim, tym razem przy Kronenstrasse 30. Po letniej kuracji Hipolita w Salzbrunn, od października 1838 roku obydwaj przyjaciele zamieszkali w stolicy Prus, już przy Mittelstrasse 16. Ostatnie ich wspólne locum w Berlinie było przy Bauhof 4. Tam też Cegielski i Motty mieszkali aż do ukończeniu studiów przez Hipolita i jego obrony pracy doktorskiej w styczniu 1840 roku. Marceli był na owej obronie, a nawet zadał przyjacielowi kilka (można się domyślić, że życzliwych) pytań.

Świeżo upieczony doktor filozofii musiał wrócić do Wielkiego Księstwa Poznańskiego, by zgodnie z warunkami otrzymanego stypendium, podjąć pracę w tej prowincji. Dzięki poparciu profesora Mottego, po ukończeniu stażu rozpoczął pracę w gimnazjum św. Marii Magdaleny — tym samym, z którego wyszedł jako uczeń kilka lat wcześniej. Musiał przedzierać się przez trudności i przeszkody, nie zawsze najzręczniejsze sobie poczynął w nowym, już profesorskim, środowisku, ale w końcu dopiął swego i został pełnoprawnym nauczycielem.

Marek REZLER



KINO SŁONKO ZAPRASZA W PAŹDZIERNIKU

JURASSIC PARK III

5-8. 10. godz. 19:00

Cztery lata po wydarzeniach opowiedzianych w „Parku jurajskim” doktor Alan Grant powraca na wyspę dinozaurów. Poszukujący środków na nowe badania nad teorią inteligencji Velociraptorów, przyjmuje propozycję zamożnych podróżników, którzy gotowi są otworzyć przed naukowcem swoją książeczkę czekową pod warunkiem, że będzie im towarzyszył w podróży lotniczej na Wyspę Soma. To, co tam zastają przejdzie ich najśmielsze oczekiwania.

Prod. USA, czas: 95 min. reż. Joe Johnston (Jumanji)

Wyst. Sam Neill, Tea Leoni, William H. Macy

PORANEK KOJOTA

12-15. 10. godz. 19:00

Kojot to ma ciężkie życie. Wszędzie czyhają na niego pułapki, a kiedy już w jakąś wpadnie, gotów jest nawet odgryźć sobie łapę, byle tylko wydostać się na wolność. W podobnej sytuacji znajduje się Kuba, młody niespełniony rysownik komiksów, który zakochuje się w znanej, powiązanej ze światem gangsterskim piosenkarce.

Prod. Polska, czas: 100 min., reż. Olaf Lubaszenko, muz. Szymon Wysocki

Wyst. Karolina Rosińska, Michał Milowicz, Maciej Stuch, Tadeusz Huk, Janusz Józefowicz

BRATERSTWO WILKÓW

19-22. 10. godz. 19:00

Jeden z najbardziej widowiskowych filmów francuskich ostatniej dekady, z rewelacyjnymi efektami specjalnymi, za które odpowiedzialni byli twórcy ze studia Jima Hensona. Francja za panowania Ludwika XV. W niewielkiej, odciętej od świata wiosce na południu szaleje „bestia z Gevaudan”, monstrualna istota odpowiedzialna za śmierć ponad stu ludzi, głównie kobiet i dzieci. Gdy region ogarnia panika, król wysyła do Gevaudan swych najlepszych żołnierzy polecając im wytropić i zgładzić potwora.

Prod. Francja, czas: 142 min. reż. Christophe Gans

Wyst. Samuel Le Bihan, Mark Dacascos, Emilie Dequenne

SHREK

26-29. 10. godz. 19:00

Film z gatunku fantasy, powstał na podstawie książki Williama Steiga. Shrek jest zielonym stworzonkiem, które nie lubi hałasu, zamieszkania i niespodziewanych gości. Jakże było jego zdziwienie, kiedy do jego zacisza zawitało mnóstwo postaci z sąsiedniego królestwa bajki. Zostali wygnani ze swojego królestwa przez złego Lorda Farquaada i nie będą mogli powrócić do domów, dopóki ktoś nie uratuje narzeczonej Lorda - księżniczki Fiony z łap straszliwego smoka. Shrek wyrusza w niebezpieczną drogę na ratunek Fionie. W polskiej wersji języko-

wej usłyszymy m. in. rewelacyjnego Jerzego Stuchura w roli osła, Zbigniewa Zamachowskiego jako Shreka i Adama Ferencego. Prod. USA, czas: 90 min.

Bilety – 10 zł, do nabycia na godzinę przed seansem

DKF „Klaps”

MALENA

2. 10. godz. 19:00, prod. Włochy, reż. Giuseppe Tornatore
Nowy film włoskiego mistrza to opowieść o małym miasteczku u wybrzeży Sycylii, w którym rozgrywa się piękna i tragiczna zarazem miłosna historia. W tytułowej roli zachwycająca Monica Bellucci, całość świetnie sfotografowana i wypełniona muzyką Ennio Morricone, robi niesamowite wrażenie.

BILLY ELIOT

9. 10. godz. 19:00, prod. Wielka Brytania, reż. Stephen Daldry
Rewelacyjna brytyjska robota (pamiętacie choćby „Goło i wesoło?”), zabawna opowieść o pewnym czternastolatku, który zamiast uprawiać boks, w tajemnicy przed bliskimi uczy się tańca baletowego, a że tata jest górnikiem....Zresztą, obejrzyjcie koniecznie sami.

DZIEWCZYNY I CHŁOPAKI

16. 10. godz. 19:00, prod. USA, reż. Robert Iscove
Opowieść utrzymana w klimacie romantycznej komedii osadzona jest w środowisku studentów uniwersytetu w Berkley. W rolach głównych: Freddie Prinze Jr., Clatie Forlani, Jason Biggs oraz Alyson Hannigan - młodzi choć już dobrze znani aktorzy.

ŚWIĘTY DYM

23. 10. godz. 19:00, prod. USA, reż. Jane Campion
Najnowszy film twórczyni „Fortepianu” to oryginalne, świeże i bardzo dobrze zrobione kino. Autorka po raz kolejny podejmuje temat dochodzenia do siebie, odnajdywania tożsamości i kształtowania własnej odrębności. Główne role to popis aktorski Kate Winslet i Harvey’a Keitel’a, muzyka zaś jest dziełem Angelo Badalamenti.

PI

30. 10. godz. 19:00, prod. USA, reż. Darren Aronofsky
Pełnometrażowy debiut tego reżysera stał się wydarzeniem niezależnego festiwalu w Sundance. To mroczna i neurotyczna opowieść o matematycznym geniuszu, któremu wydaje się, że odnalazł prawidłowości dotyczące zarówno giełdy jak i świata przyrody. Jest tu coś z klimatów Kafki i Borgesa oraz wczesnego Lynch’a.

Karnet na cały miesiąc – 32 zł, bilet na jeden seans – 8 zł.

GALERIA '99

Anna Filipkowska
malarstwo

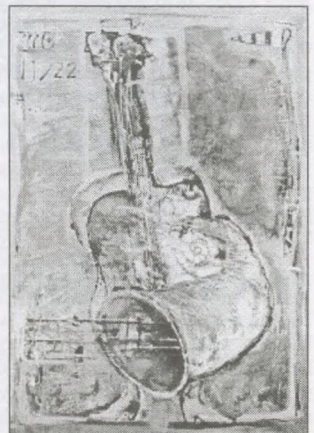
Ur. 14.04.1967 w Poznaniu. Studiowała na PWSSP w pracowniach m.in. malarstwa, prof. Józefa Walczaka, plakatu prof. Waldemara Świerzego. Dyplom uzyskała w roku 1994. Indywidualne wystawy malarstwa: 1997, 1998 — Poznań — galeria-kawiarnia „Kamea” ul. Żydowska. Zbiorowe wystawy: 1999 — Sankt Petersburg — Pałac Szeremietiewa, 2000 — Czarnków — Dom Kultury „Galeria Pięciu”.



Foto: Marek JANICKI

Moja twórczość jest odbiciem w lustrze i jest też radarem, który wychwytuje pojawiające się w polu widzenia zmiany, i jest też swoistym GPS-em, który oznajmia w jakim punkcie świata i kosmosu akurat się znajdujemy. Jest punktem komunikacji, życiem, które oddaje w tej formie innym osobom. Maluję, ponieważ malarstwo zniewala, domaga się ciągłej uwagi, kontynuacji raz zaczętej myśli. Dopóki świat istnieje i ja na nim chciałabym coś przekazać, chciałabym coś powiedzieć... Moje malarstwo zależne jest — od uwagi mu poświęconej, może jest nawet od niej uzależnione. Całość dopełnia się w takim dniu jak dziś — obraz zaczyna żyć swoim życiem w oczach oglądającego. Chciałabym dać radość wynikającą z doskonałego zrozumienia między ludźmi. Jeśli ten rodzaj przekazu jest Ci bliski znaczy nie jesteś sam w tym niesamowitym świecie.

Anna FILIPKOWSKA



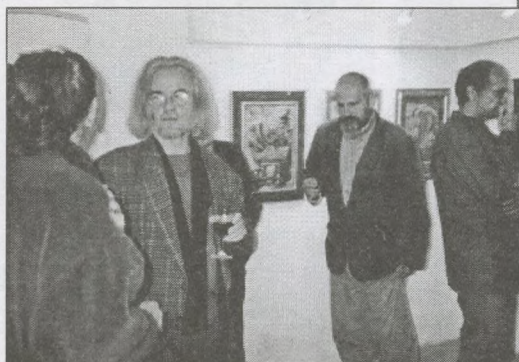


Foto: JAHNS



Krzysztof Małkiewicz
prezes Spółdzielni Mieszkaniowej w Śremie

Wydawnictwo Miejskie



GAZETA ŚREMSKA. Siedziba redakcji: Muzeum Śremskie, 63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89, tel. (0-61) 2835938. GŚ w internecie: www.muzeumsremskie.nx.pl, e-mail: muzeum@nx.pl. Redagują: Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny), Barbara JAHNS (redaktor prowadzący). Wydawca: Zarząd Miejski w Śremie. Skład i druk: GSPTR, 63-800 Gostyń, ul. Sądowa 7, tel. (0-65) 5720309, fax (0-65) 5721754, e-mail gg@bt.pl. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam oraz zmiany programów i terminów wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

HIERONIM BOSCH:

Tryptyk **Wóz z sianem**

- 1500-1502



Hieronim Bosch, tryptyk *Wóz z sianem* (otwarty): *Grzech pierworodny, Wóz z sianem i Piekło*

1951r. pierwsza siedziba spółdzielni

2001r. osiedle mieszkaniowe

